

— Albo oni zrobili za duże dalary, albo my zrobiliśmy za małe klucze. Rys. L. Szalecki

Kamena

LUBLIN 24.X.1971 Nr 22 (481)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Ludzie podnoszą rękę

Henryk Pająk

WYTYCZNE na VI Zjazd Partii to dokument o objętości bardzo małej powieści lub bardzo dużej noweli, w każdym razie nie mieszczący się w schemacie spotykanych do niedawna przemówień okolicznościowych o stanie państwa, z biegiem lat coraz bardziej upodabnianych do traktatów politycznych i górnolotnych oracji. Otrzymujemy obecnie tekst wyzbyty okrągłych frazesów ideowo-politycznych: rzeczowy zwęzły, roboczy, skromny w formie i treści — i już przez tę swoją odrębność wzbudza zainteresowanie i zafascynowanie. Społeczeństwo otrzymuje zaproszenie wystosowane przez Partię do udziału w obradach przy okrągłym stole a nie okrągłych frazesach, zaproszenie, na które długo czekaliśmy.

Postawiono przed nami zasadę zbiorowej oraz indywidualnej odpowiedzialności, zasadę współuczestnictwa, współtworzenia, współautorstwa, ten fundamentalny warunek marksizmu po zwycięskim zakończeniu walki o władzę. To zobowiązuje. Zobowiązuje wzajemnie: tych, którzy tę zasadę proponują, oraz tych, którzy ją mają realizować. Zobowiązuje w sposób kategoryczny, albowiem tylko taka forma dialogu z 30-milionowym rozmówcą, zniecierpliwionym już kilkakrotnie, daje szansę wzajemnego zrozumienia i zaufania, od którego z kolei możliwe będzie rzetelne zakasanie rękawów. A zatem Wytyczne, przynajmniej w moim rozumieniu, są prezentacją wzajemnych zobowiązań, a także szczegółowym podziałem ról.

O tym nieco szerzej. Zaczniemy od siebie, od naszych zadań jako społeczeństwa. Krótko mówiąc, mamy w kilku rozstrzygających dziedzinach gospodarki narodowej dokonać takich przeobrażeń, które pozwolą skrócić czas oczekiwania na likwidację najbardziej napiętych zobowiązań. Do tych dziedzin zaliczono rolnictwo, przemysł rolno-spożywczy, budownictwo mieszkaniowe, kierunkowe gałęzie przemysłu, transport. Wzmoczone działanie w tych dziedzinach zmierzać będzie w

Czy faktycznie Wysoka Rada?

Ryszard Dunin

SYNTETYCZNA odpowiedź na to pytanie przynosi 96 punkt Wytycznych KC PZPR na VI Zjazd Partii, w którym m. in. podniesiona została nie tylko potrzeba wzrostu roli i autorytetu rad narodowych, ale także konieczność zwiększenia ich uprawnień koordynacyjnych.

Przekładając to na język praktyki istnieje potrzeba ustanowienia w terenie faktycznego gospodarza posiadającego decydujący głos w sprawie regionalnej polityki rozwojowej. Aby to uzyskać, konieczne jest wyposażenie go w tego typu środki działania, które organ przedstawicielski uczyni faktycznym

mandatariuszem swojego miasta lub regionu. Aby rady narodowe mogły prowadzić działalność opartą o racjonalne przesłanki gospodarcze, określać podstawowe cele społeczno-gospodarcze regionu i kierunki zaspokajania potrzeb ludności, istnieje pilna konieczność wzmocnienia ich roli i autorytetu, począwszy od sesji, poprzez działalność komisji aż do pozycji radnego.

Mamy obecnie niezwykle sprzyjający moment, aby dokonać możliwie najszerszej i najgłębszej analizy społecznej dotychczasowego stanu organizacji, funkcjonowania oraz zarządzania gospodarką narodową przez rady narodowe i przyjrzeć się dokładnie funkcjom i uprawniom rad niższego szczebla.

Doświadczenie wskazuje, iż ustawowy model rad narodowych, jako organów przedstawicielskich, sprawdził się pozytywnie w praktycznym działaniu. Niemniej jest wiele elementów tej praktyki, które wymagają zarówno korektur, jak i istotnych usprawnień.

Ważnym dla przykładu problemem z dziedziny polityki gospodarczej. Zakres ich przez szereg lat kształtował się głównie jako wypadkowa wielu, niejednokrotnie przypadkowych decyzji, zwłaszcza inwestycyjnych. Kierowane z góry w trybie dyrektywnym propozycje lokalizacji tych inwestycji spotykały się najczęściej z „otwartymi ramionami”. Rozumowanie bowiem było proste: lepsza taka inwestycja niż żadna.

Tego rodzaju praktyka doprowadzała nieraz do nieuwzględnienia możliwości faktycznego kierowania przez radę narodową nową dziedziną gospodarki, a poprzez wycinkowość decyzji inwestycyjnych naruszała kompleksowość rozwoju danego terenu, często też nie uwzględniała potrzeby maksymalnego wykorzystania istniejących zasobów surowcowych, problemów transportu, komunikacji itp.

Nowy zakład produkcyjny z planu centralnego nie był podporządkowany

Dokończenie na str. 6

Odważnie i rozważnie

W lutym br. „Kamena” rozpoczęła cykl publikacji pod tytułem: **Dyskutujemy odważnie i rozważnie**. W kilkunastu pozycjach autorzy — zarówno aktywi parowozodajcy, jak i nasi publicyści — wskazywali na pilne i ważne sprawy, które po VII i VIII Plenum KC trzeba było szybko zmienić, ulepszyć, poprawić. Nie zapominając o dotychczasowym dorobku kraju i Lubelszczyzny, staraliśmy się wskazać na najbardziej palące problemy.

4 września br. KC PZPR przedłożył pod ogólnopartyjną i ogólnonarodową dyskusję wytyczne pt. „O dalszy socjalistyczny rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Komitet Centralny zaprosił członków sojuszniczych Stronnictw, bezpartyjnych, robotników, rolników i inteligencję pracującą, uczonych i twórców, kobiety i młodzież do przedstawienia swoich opinii i uwag. Plan tej dyskusji zostanie sponżytkowany przy opracowywaniu programu i uchwał VI Zjazdu Partii.

„Otwieramy i łamy „Kamena” celem podjęcia wielkiej debaty nad jutrzejszym kształtem naszego kraju. Zachowujemy łutowy nadtytuł odważnie i rozważnie, bo oddaje on istotę rzeczy. Jednocześnie w naszych publikacjach redakcyjnych dajemy do tego, aby szerzej przedstawić życie Lubelszczyzny, bez upiększeń i palosu mówić o sprawach, które boją, które wymagają naprawy. Sądymy, że nie tylko okres przedzjazdowy stanowi ku temu okazję.

W bieżącym numerze — dyskutując odważnie i rozważnie — zabierają głos: mgr Ryszard Bączek — starszy asystent WSI, Ryszard Dunin — przewodniczący Komisji Planu Gospodarczego i Budżetu MRN w Lublinie, mgr Władysław Korciak — adwokat, doc. dr inż. Stanisław Matyaszewski — dziekan Wydziału Budownictwa Lądowego WSI, Henryk Pająk — członek Związku Literatów Polskich, publicysta „Kuriera Lubelskiego” oraz Romuald Wiśniewski — publicysta „Kamena”. Ale i w innych wypowiedziach Czytelnicy znajdą materiał do głębszych przemyśleń. Będziemy wdzięczni, jeśli sami sięgną po pióro.

Bez samorządu trudno

Stanisław Harasimiuk

KTO dziś odbiera sobie życie, pijąc kwas solny? W ogóle kto dziś popielnia samobójstwo? Kto z tysiącami możliwościami wybiera tę ostateczną ewentualność? I dlaczego?

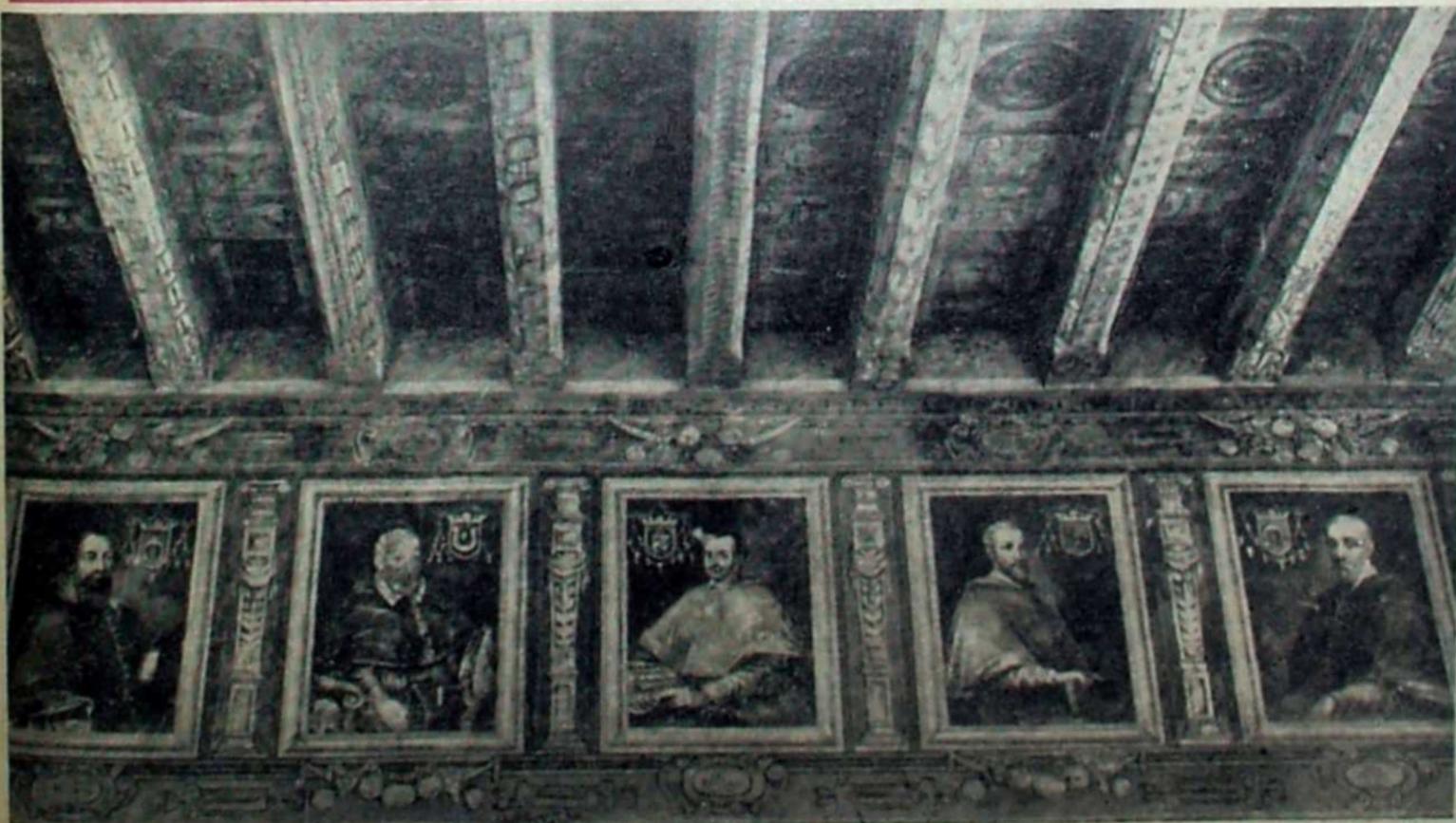
Pytania można mnożyć; jeszcze większa mnogość odpowiedzi ciśnię się każdemu, kto znajduje odwagę skupionego myślenia o ludziach „skazanych”. Skazany przez samych siebie. Faktycznie, lub tylko pozornie. Pytania owe formułuje człowiek, którego inwencja jest mimo wszystko ograniczona: odpowiedzi dyktuje w końcu samo życie, które — jak sądzą pokolenia myślicieli — ograniczeń nie znosi. W każdym razie Wanda P. nie musiała wypłacać skradzionego z fabryki kwasu solnego. Ostatecznie kobiet samotnie wychowujących swoje dzieci jest wiele. Ostatecznie wiele spośród nich cierpi chronicznie niedostatek. Ostatecznie nie tylko Wanda P. płaciła z 1500 zł — jedynego budżetu rodzinnego — 700 zł za pokój sublokatorski. Ostatecznie nie tylko Wanda P. musiała znieść swój surowy los.

Tak, zwracała się z prośbą o pomoc do swoich bezpośrednich przełożonych. Rozkładali ręce. Wydeptywała ścieżki do rady zakładowej, zakładowych gabinetów organizacji społecznej. Trafiła wreszcie do ostatecznej w tej fabryce instancji — „starego”. Dyrektor ma od lat pielęgnowaną opinię człowieka czulego na tzw. ludzkie sprawy. Większość prosiących z poniedziałkowych audycji „na dywanie” nie wychodzi z próżnymi rękoma. Wanda P. także wyniosła z gabinetu dyrektora naczelnego zapewnienie podwyższenia stawki o jedną grupę. Oznaczało to niebagatelną w jej sytuacji poprawę rzędu 150—200 złotych miesięcznie. Ośmielona powodzeniem, poprosiła o pomoc w przydziale mieszkania w przyfabrycznych barakach. Baraki przeznaczone są do rozbiórki, od długich lat trwa proces wykwatowania: od lat bezskutecznie, gdyż skoro tylko wyprowadzą się jedne rodziny do bloków zakładowej spółdzielni, zwolnione dopiero co kłitki wykazują cudowną właściwość ponownego zaludnienia się tymi, dla których barakowa łóżka stanowi przedmiot mieszkaniowych pożądań. Zakład i jego kierownictwo od wielu lat mają więc dotkliwie kłopoty z barakowym problemem. Kto lubi kłopoty? I kto może wymagać od zakładu dobroczynnej misji? Wszak fabryka nie przytułek, a dyrektor nie prezes Armii! Zbawienia czy charytatywnego zrzeczenia.

Wanda P. nie zyskała więc żadnych nadziei mieszkaniowych. Zyskała przynajmniej cenna obietnica podwyżki. Ale na obietnicy się skończyło. Urzędnik stwierdził, że Wanda P. nie posiada odpowiednich kwalifikacji. Stuznie — podwyżki stanowią przecież delikatny i kosztowny instrument sterowania jakości i wielkością produkcji. Podwyżki muszą być zarezerwowane dla tych, którzy lepszą pracą i wyższymi kwalifikacjami dostarczą konkretnych, wymierzonych efektów. Wanda P. obiektywnie nie gwarantowała żadnego postępu, choćby w mikroskopijnym wymiarze swego słowniska pracy. Wypła wyniesiony z fabryki kwas solny.

Na szczęście nie mogła, nie była w stanie, wypić wszystkiego. Żyje. Wraca do zdrowia. Jest nadzieja, że do czasu, gdy rzecz ukaże się w druku, Wanda P. wróci ze szpitala do swego domu. Nie, to nie przejęzyczenie. Wanda P., jeśli tylko zdro-

Dokończenie na str. 10



Kielce. Fragment fryzu portretów w sali pałacu (XVII w.).

Fot. F. Gładysz „Kielcekie la ba da”, cytuj na str. 5.

CALKOWICIE tym razem brak mi humoru i pomysłu na dowcipne „wejście” w sprawę, mogące czytelnika połączyć i do lektury zniechęcić. Bo też i w samej sprawie więcej znalazłem momentów, które do lez gorzkiego przywiesić mogły niż do krsięcego uśmiechu. Przy tym nie sądzę, aby to była akurat główna wina określonych ludzi, obecnie się ze swoją biedą moczających. Jest to raczej wina zbyt pospiesznych i nie do końca obmyślanych decyzji sprzed lat kilkunastu, a więc decyzji właściwie już bezosobowych. Pomysłów zresztą o szerszym za-

wet linii kolejowej, i nie jestem przekonany, czy raczej na ogół dogodna komunikacja PKS-owa z Lublinem całkowicie niweluje ten brak. Dalej — jedyna szkoła w mieście. Budynek stary, sprzed II wojny. Ciężnie się w nim szkoła podstawowa i liceum ogólnokształcące — w sumie ponad 1000 uczniów, z których część, wskutek zbyt małej liczby sal, musi kończyć lekcje o godzinie 19.30! Wreszcie — budownictwo mieszkaniowe. W tej chwili szybko potrzeba około 50 lokali dla osób i rodzin zajmujących budynki zasadniczo nie nadające się już do eksploatacji. Ze nie wspomnę o zabezpieczeniu mieszkań dla pilnie potrzebnych lekarzy czy innych spe-

PRL”. Pochodzą one z roku 1987, teraz sytuacja uległa dalszej poprawie. Na tym jednak koniec mojego optymizmu. Okazuje się bowiem, że jak samo miasto Bełżyce nie może się wygrażać z poważnych kłopotów, tak i cały powiat nie narzeka na ich brak. Znowu sprawy z dziedziny: nie ma. A więc nie ma sądu powiatowego i prokuratury powiatowej. Za mało ludności i do Lublina blisko? Niech będzie. Ale jeśli nie ma nawet PZGS-u, a powiat bełżycki musi siedzieć na garnuszku lubelskiego Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni, to już zakrawa na parodię, choćby ze względu, że nie przede wszystkim, na fakt pięknych tradycji spółdzielczych sięgających w Bełżycach... początków XX wieku. Oto bowiem pierwsze spółdzielnie rolnicze na Lubelszczyźnie powstały w roku 1906 właśnie w Bełżycach i Bychawie. Skutek aktualnej sytuacji taki, że lubelski PZGS niezbyt się kwapi do inwestowania na terenie powiatu bełżyckiego, nie mówiąc nawet o samych Bełżycach. Sieć placówek GS-u jest tutaj nie zawsze racjonalnie rozłożona i nie zawsze wystarczająca, co się ewidentnie na zaopatrzeniu, dostawach obowiązkowych i kontraktacjach mści, a czego dowodem GRN Szczuczki.

Przykład Szczuczki jest zresztą wielostronny. To jedna z najbiedszych gromad w powiecie, zaległości z tytułu obowiązkowych dostaw w przeliczeniu na równowartość pieniężną wynosiły na dzień 30 VI 1971 r. — 471 856 zł. Powód nie jeden. Sporo w okolicy zaniedbanych gospodarstw wдовich, jako że już w październiku 1939 roku okupant dokonał tu pacyfikacji. Wymordowanych wówczas zostało kilkudziesięciu miejscowych mężczyzn, spalono szkołę (dziś w miejscu kaźni stoi nowa 1000-latką). Po wojnie gospodarka podupadła, ludzie stąd przez 20 lat chodzili piechotą lub jeździłi na rowerach do pracy gdzie indziej. To fakt. Ale ostatnio coraz więcej młodych zaczyna prowadzić gospodarke. I jest sytuacja paradoksalna, że tu tejsi rolnicy (myślę, oczywiście, o całej gromadzie) niejednokrotnie muszą — jak się sami wyrazili — „dziać w GS-ach z innymi... powiatów (choćby w Niezabitowie, pow. opolski) lub w dalej położonych GS-ach z terenu powiatu bełżyckiego (choćby w GRN Wojciechów), gdyż miejscowa gromadzka sieć GS-ów nie wystarcza. Zaproszony na sejm wyjazdowy PRN w Szczuczce, przedstawiciel lubelskiego PZGS-u nawet nie raczył się zjawić!

Z przykładem Szczuczki wkraczamy w dziedzinę innych kłopotów. Otóż niezależnie od perturbacji z placówkami Gminnych Spółdzielni okazuje się, że gdy stworzono powiat, nie zawsze podział administracyjny pokrywał się z podziałem — w szerokim sensie — gospodarczym. Od 1934 roku, kiedy to zniesiono gminne rady narodowe (dlaczego dotąd przymiotnik: „gminny” funkcjonuje w nazwie GS-ów?), mieliśmy na Lubelszczyźnie już siedem korekt podziału administracyjnego (głównie w stosunku do gromad) i nadal nie rozwiązano wszystkich problemów. Jeszcze w 1969 roku w Bełżycach trzeba było natomiast rozwiązać gromadę Radawiec Duży i część jej przekazać powiatowi lubelskiemu, gdzie Radawiec miał kasę spółdzielczą oraz ośrodek zdrowia. Nie sądzę, aby sytuacja, w której pograniczne gromady jednego powiatu z konieczności „flirtują” z drugim powiatem, sprzyjała społecznej i gospodarczej stabilizacji w obu takich powiatach. Przy czym bardziej przegrany jest zawsze partner słabszy — w tym przypadku Bełżyckie. Oto i nowe źródło poważnych problemów.

Teraz trzeba by trochę o kulturze, bo o tym, że nie ma jeszcze szpitala powiatowego, a jest tylko szpital rejonowy, odpowiednio słabiej wyposażony i gorzej obsadzony etatowo — żal mi nawet pisać. Lecz o kulturze też nie będzie za wiele, jako iż mówienie o niedostatkach tzw. bazy kulturalnej naszego województwa to zajęcie wysoce znużające, które zresztą zaczyna mi się już nudzić. Zaś sytuacja Bełżyckiego tylko trochę gorza niż przeciętna wojewódzka, a czasem nawet lepsza, jeśli by na przykład szło o liczbowy stan księgozbioru w bibliotekach.

Faktem w każdym razie jest, że powiat nie posiada GOK-ów ani gromadzkich domów kultury, co nie może zaskoczyć przy opisanej jego sytuacji gospodarczej. Posiada natomiast Powiatowy Dom Kultury, placówkę zabana, nowoczesną, która swe dosyć sprawne dla miejscowych funkcjonowanie zawdzięcza kierownicze, Marii Walczak, kobiecie absolutnie niespożytej, potrafiącej zjednać sobie goce tam trzeba i wykorzystać to na chwałę i pożytek doczesny PDK-u. Nie tak wspaniale wygląda sprawa w terenie — w nieśmiertelnych klubach rozmaitego autoramentu, a głównie „Ruchu”. Nie nowego i nie tylko bełżyckiego specjalność. Bądź co bądź — zdaniem sekretarza Prezydium PRN w Bełżycach, Henryka Pańnika — kluby „Ruchu” zniżają się w punkty handlu środkami poryciami i myjącymi, nie zaś — nomen omen

Wielka głowa nikłe ciało

Maciej Podgórski

sięgu, które jednak uruchomiły i ten konkretny, a kulejący tu i ówdzie mechanizm. Trudno ukryć jednak, że problem istnieje, a nie za bardzo wiadomo, z kim walczyć. O co chodzi? O powiat, powołany piętnaście lat temu. I o miasto, od piętnastu lat powiatowe, acz istniejące lat przeszło 550. Bełżyce bowiem zlokalizowane zostały w roku 1417 przez Jana i Spytka Tarnowskich herbu „Leliwa”. Historyczne wycieczki byłyby tu może wata dziennikarską, gdyby nie jedno porównanie, którego udało mi się dokonać — ważne na dziś, a zdumiewające. Oto w roku 1880, liczące wówczas 2,5 tys. mieszkańców, Bełżyce posiadały 42 sklepy i kramy. Obecnie przeszło 5-tysięczne miasto powiatowe ma (razem z „przedmieściami”, czyli dołączonymi wioskami produkcyjnymi): 21 sklepów, dwa kioski spożywcze i tom towarowy (wszystko branża GS-u). Nawet gdyby sześć stoisk domu towarowego liczyć jako odrębne sklepy, dodać punkty handlowe i usługowe innych branż, to i tak liczba XIX-wieczna jeszcze daleko.

Może ktoś powiedzieć — wredne porównanie: starego kramarstwa z nowoczesnym handlem, przeważnie spółdzielczym. Tylko że ten „nowoczesny handel” — poza domem towarowym — gnieździ się w starych lokalach bez wymaganego zaplecza, o tragicznych nieraz warunkach sanitarnych. A w dodatku lokalach wynajętych u osób prywatnych, które — jeśli zechcą — mogą wywić gościnnie. W ten sposób trzeba było zlikwidować sklep obuwiczny i placówkę „Centrali Rybnej”. A w ogóle to pula zaopatrzenia dla Bełżyc jest taka sama jak dla wsi, albo jeszcze gorsza. Ryb — właśnie! — pod każdą postacią... brak, a przynajmniej istnieje zasadniczo niedobór. To tylko przykład. — Tyle o handlu.

Z usługami również nie najweselsiej, z podobnych przyczyn — lokalowych. Tym więcej, że przeciąga się historia budowy domu usług komunalnych, który miał być przekazany w sierpniu ubiegłego roku, a w którym przewidziano: hotel (20 łóżek), laźnię oraz pralnię zwykłą i chemiczną. Inwestycja to bardzo potrzebna miastu, urządzona i zafundowana w czynie społecznym, już właściwie gotowa, choć — w momencie, gdy rozmawiałem z zainteresowanymi — jeszcze nie oddana do użytku. Trudno mi rozobrać tę mocno zawikłaną w biurokratyczne korowody historię. Bądź co bądź, jednym z głównych jej bohaterów jest wykonawca — Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Lublinie, które — jak twierdzą władze Bełżyc — zbudowało pierwotnie niezgodny z dokumentacją osadnik lokalny ścieków, tak że nieczystości pojawiły się w studni głębinowej „odkrytej” na terenie sąsiadującej z obiektem mleczarni. Studnię wybudowała ongiś mleczarnia, gdy jeszcze nie potrzeba było na to odpowiednich „zewzwoleń wodnych”. Kiedy się okazało, że takowe zezwolenia obowiązują i mleczarnia wystąpiła o nie, wówczas równoległe „ujawniły się” przecieki z osadnika. I ruszyła machina zakazów, nakazów z Lublina, której nie powstrzymał nawet fakt, że wykonawca poprawił przedmiot sporu — przeciekający osadnik, co stwierdziło szereg rozmaitych komisji. Ostatnio chodzi o brak tzw. rozprawy wodno-prawnej... Jak długo jeszcze potrwa ta sytuacja? Tyle o usługach.

W powiatowych Bełżycach sporo rzeczy nie ma, chociaż powinny być. I sporo rzeczy jest, ale nie takich, jak należy. Pod koniec... XIX wieku pilnie planowano połączenie kolejowe Bełżyc z Jarosławiem. Do dziś w Bełżycach nie ma stacji ani na-

czajniaków koniecznych dla miasta. Na to wszystko w tej pięciolatce ma być zbudowany blok składający się z 20 mieszkań. Zaś nadbudowa kamieniczek stojących w rynku umożliwiona została dawną decyzją konserwatorską.

Doprawdy, błądząc tak i błądząc, zaczynam odczuwać, że popelniam jakiś proceder wstydlawy i egzotyczny, albo że wracam z dalekiej podróży nie z tego świata. Gdyby nie fakty. Zresztą Bełżyce w całości są miastem dosyć dziwnym, że tak powiem — wiejsko-miejskim. Kiedy się maszeruje najdłuższą ulicą — Lubelską, na samym końcu której ulokowano gmach urzędów municypalnych i parę bloków (właszczone użytki rolne dla tych inwestycji), a więc kiedy się zmierza tą ulicą, aby porozmawiać z władzami o sprawach powiatu i miasta, łatwo spostrzec, że idziemy drogą, która właściwie nie straciła jeszcze wiejskiego charakteru. Asfalt wprawdzie jest i chodniki, lecz zabudowania stare, nieco podszkowane chaty parterowe, a na zapleczu stodoły, obórki, dobytek kwiczy i gdacze... I ul. Lubelska to nie jakiś anachroniczny wyjątek w Bełżycach. Spora część obywateli miasta nadal zajmuje się rolnictwem. Kiedy z gmachu prezydium wybiełem się do Szczuczki na sejm wyjazdowy PRN, a pogoda była piękna, słyszałem i takie żale radnych powiatowych, mieszkańców Bełżyc. „Ja się chciałem zwinąć na kopanie kartofli”, „Jej to dobrze, ma tam pole, bierze koszyk, starą kiepkę, i będzie potem kopać”, „Zeby chociaż deszcz był!”.

Z drugiej strony — choć z samych Bełżyc wyjeżdża do pracy poza powiat blisko 300 osób, a równoległe dojeżdżają z Lublina do Bełżyc lekarze i część administracji — istnieje w stolicy powiatu dosyć zasiedlona społeczność miejska, posiadająca swoje ambicje i nieco jałowięjąca w... płotczkach. Tak że po paru godzinach pobytu i kilkunastu rozmowach można się na przykład dowiedzieć, który z miejscowych luminary szczególnie lubi nos moczyc... Włec na głębsze moczenie lepiej zniknąć choćby w Sadurkach, gdzie poza wszystkim „Polanka” oferuje również kalkiem nie III-iej kategorii kuchnię. Sadurki wprawdzie już powiat pulawski, ale od Bełżyc blisko. No i zie-e-e-lono nam...

Ta łatwość, z jaką można przeskoczyć z jednego powiatu w drugi, przypomina, że Bełżyckie to najmniejszy powiat województwa, zarówno pod względem liczby ludności (43 tys.), jak i obszaru (499 km²), utworzony w 1956 roku z odstających gromad Lubelskiego, Kraśnickiego, Pulawskiego i Opolskiego. Jest to powiat typowo rolniczy (83,7 proc. powierzchni stanowią użytki rolne), z całkowiec skromnym przemysłem (w skali wojewódzkiej: 0,6 proc. zatrudnionych w przemyśle, 0,3 proc. produkcji globalnej przemysłu uspołecznionego). Kiedy mówię o bełżyckim rolnictwie, mogę wreszcie pokusić się o wnioski bardziej krzepiące niż dotąd. Znowu trochę statystyki. Trzecie miejsce w województwie pod względem plonów czterech zbóż (20,9 q/ha), za takimi potentatami jak Hrubieszowskie (23,0) i Tomaszowskie (22,6), trzecie miejsce pod względem ilości bydła na 100 ha użytków rolnych (64,0). Dosyć wysoka kultura rolna, o czym świadczy choćby pierwsze miejsce na Lubelszczyźnie w zakresie zelektryfikowanych gospodarstw indywidualnych (84,9 proc.). Dane te, przytoczone tu jedynie dla najogólniejszej orientacji w potencjale i osiągnięciach rolnictwa powiatu, zaczerpnąłem z książki J. Dostatniego „Lubelszczyzna w dwudziestolecie



Fot. A. Macjanskas

W 70 rocznicę urodzin poety Franciszek Halas

Nie ma imienia

Obok tych oczu
obok tych rąk
gdzieś na granicy oddechu twojego
kiedy śpiż jestem rozkuszony
pył czegoś bardzo dalekiego

Tylko imiona

Ktobył i Ktobyła
Cotoñil i Cotoñila
Zalomil i Zalomila

Obok tych łokci
i obok tych włosów
gdzieś na granicy marzenia twojego
cichutko przeszłość się uskarża wstydu

Zmysłowym śmiechem niezmysłowym
czaruje wieciorz z wsią śpiącą
Zmysłowym śmiechem niezmysłowym
śmieją się gdzieś dziewczęta

Zadna nie da imienia twojemu żalowi
Jedynie krew odlewa jego odbicie
aż po kres życia aż po kres życia

Życzenie

Nie nigdy nie chciałbym umierać
na łóżku w blasku świecy
by ktoś nade mną try ocierał
i bluznił i złorzeczył

Chciałbym w łopuchach lec bez siły
co liściem swoim dużym
mój dumny strach by zaslonił
jeślibym wtedy stchórzył

Świt

O nie to nie jest Colombine
na to ma nazbyt dumne usta
a choć w jej oczach przedsmak wina
do winobrania nie ma gustu

Klara to imię jej niemile trochę
to imię w ciemną noc poeta kocha

Nie z nią nie igraj nawet w żarcie
czóło ma nozbyt harde pani
wiem jak powieka jej cichutko karci
Całować tylko To nie dla niej

Ale to nie Nie w nocy tylko czuje
poeta imię jej i w dzień miłuje

Przełożył K. A. Jaworski

Franciszek Halas (IX 1901—27 X 1949) — znakomity poeta czeski. W pierwszym okresie twórczości związany z ruchem nowatorskim „Devětill” — tematyka miłosna, melancholia, częsty motyw śmierci (zbiórki ówczesnej: „Série”, „Tvara”, „Starozaki”, „Na rozcielu”). W dobie przełomowej Czech staje się poetą zbiorowosci, wyrazem wiary w siłę narodu i odrodzenie ojczyzny (zbiórki: „Kadlub nadzieli”, „Nasza pani Bohena Nemeova” — hold patronce mowy czeskiej), świętym tłumacz arcydzieł Mickiewicza i Słowackiego („Gratyna”, „Konrad Wallenrod”, „Dziady”, „Ballady”, „Lilla Weneda”). Za twórczość przekładową otrzymał w r. 1948 nagrodę polskiego PEN-Clubs.

Ludzie podnoszą rękę

Dokończenie ze str. 1

nych potrzeb, a mimo to gospodarka nie wali się w gruzy, przeciwnie — wykazuje dość trwały trend rozwojowy. Trwa to już dziesiąt miesiąc. Skąd jednak będziemy w przyszłości czerpać fundusze na zwiększenie spożycia o 38 proc. w skali pięcioletniej, a realnych płac o 17 proc. skoro na każdy procent tych płac musimy wyprodukować dodatkowo artykuły żywnościowe wartości dwóch miliardów złotych, oraz artykuły przemysłowe wartości 2,3 miliona? Teraz już wiemy w sposób oczywisty, że można to uzyskać pracą własnych rąk, podnosząc efektywność tej pracy, uruchamiając rezerwy, polepszając gospodarkę materiałową i procesy inwestycyjne oraz skracając czas oczekiwania na pełne moce produkcyjne uruchamianych zakładów.

Trzeba wyjątkowo starannie — szukając rezerw — przyrzeć się każdej dziedzinie gospodarki, każdemu zawodowi, a nawet stanowisku pracy, żeby nie przeoczyć żadnego, a pozostając w spokoju drugich, bo rezerwy nie są rozkładane równomiernie, że tylko iść i zbierać. Z racji udziału w pomiarach dóbr materialnych dwie grupy społeczne dążą do jak największego wzrostu. Jedną w Wytycznych — rolnicy i robotnicy. Rezerwy należy szukać w obu, lecz wyjątkowo starannie wśród klasy robotniczej. Chodzi o to, że praca żąda wielkoprzemysłowa jest już chyba wystarczająco wykorzystywana w zakresie norm, organizacji pracy i oszczędności materiałowej i tu powinniśmy się biec głównie o jakość. Nie zbadanie natomiast i ołbrzymie rezerwy kryją się, niemal złośliwie, w przemysle drobnym, spółdzielczości, budownictwie i wszystkich innych zawodach, w których pracujący nie stoją obok siebie, nie widzą ich majster, nie są obwarowani normami, w bramie nie czyha na nich wartownik, gdy chcą coś przykraść. Warto się zastanowić, czy robotnik wykonujący obecnie na jednej zmianie 100 detali, nie może zrobić 120 detali i czy w procesie produkcyjnym nie dążyć się wprowadzić uproszczeń oraz oszczędności materiałowych — lecz bezwzględnie i jak najszybciej trzeba uczynić wszystko, aby w tym samym czasie inni robotnicy w trakcie pracy nie mieli czasu na wyregulowanie się, wyskakiwanie na piwko, grę w karty. W tym samym czasie, gdy na wydziałach np. FSC robotnik stoi przy maszynie przez osiem godzin, bo chce zarobek i wykonać normy, to przy budowie drogi do Zdzidowic w powiecie janowskim trzech robotników w ciągu osiem godzin pracy ułożyło 9 — słownie dziewięć — krawężników. Ci pierwsi mają czas zaledwie na śniadanie i rzadko na papierosa — tamci mają czas na wyregulowanie, mogą wyskoczyć na śliwki do pobliskich sadow, na fiaczkę wina — i też swoje wezmą na pierwszego. Przy budowie urządzeń gazowniczych przy ul. Siennej w Lublinie około pięciu robotników kopalo od ślodej do trzeciej doł o głębokości jednego metra średnicy, śloda nad nimi trzech kierowników przez godzinę sprzącających się, gdzie najpierw trzeba kopać taki doł, a gdzie później, ale w końcu doł wykopano dwóch uczniów technikum w ramach zajęć warsztatowych. Ludzie to z boku widzą — obokobok budujących drodze w Zdzidowicach skrytykowała radna PPRN w Janowie podczas sesji posiedzenia Wytycznych, o tempie robót przy Siennej szeroko rozpowszechniła wiadomości, którym kazano wykopat ten metrowy doł.

Ludzie to widzą, śmieją się lub oburzają, a także zgadzają się jednomyślnie, że tak dalej być nie może. A jednak ciągle jest po staremu. I będzie tak dopóty, dopóki nie skończymy na gadaniu i dopóki na wszelkie przejawy marnostrawstwa, leżakowania w pracy, niekompetencji i złośliwości — nie zaczniemy odpowiadać czymś skuteczniejszym, niż zmienianiem dyrektorów i kierowników. Do tej ostatniej czynności podchodzimy z fałszywym zażenowaniem: unika się publicznie słowa — zwolniony, wyrzucony, tylko: zmieniony. W zakładzie X trzeba zmienić dyrektora. Zmienić — to znaczy przesunąć na inne stanowisko dyrektorskie, a na to dać innego geniusza. Bo u nas, jak już ktoś wszedł na drogę dożywnotnych stanowisk i awansów, to siedzi sobie i siedzi, jeździ na połowanki, czyta w pracy gazetę i ziewa, potem znów pójdzie o szczebel w górę, a kiedy wreszcie osiągnie szczyt niekompetencji, to się go zmienia — poziomu oczywiście, chyba że narobi zbyt dużych kantów.

W tym właśnie miejscu kończą się zadania ludzi dysponujących tylko parą rąk do roboty — czyli społeczeństwa, a zaczyna się rola tych, którym dano mandat rządzenia, programowania, słowem — pilnowania żeby było dobrze, coraz lepiej, coraz sprawniej, racjonalniej i nowocześniej. Trz. szary obywatel widzi krytycznie same przejawy zła, ich skutki osobiste go w jego mniemaniu nie dotyczą. Ostatnio jednak nawet ten szary obywatel zaczyna liczyć dalej i widzieć szerzej, i pozostając już przy tych nieszczytnych dziełach krawężnikach: już nie idzie o śliwki i dniówki wypalone trzem ludziami za darmo, ale o fakt, że drogę do Zdzidowic budują już drugi rok i że z powodu tej drogi w tej wsi hodującej około tysiąca krów nie skupuje się mleka, którego tak nam od dawna brak. Ludzie od programowania muszą i ten fakt wliczać do strat przy wypłacaniu faktycznie niepracujących dniówek, dopiero wtedy powstanie skomplikowany lecz nierozdzielny spójnik współzależności ekonomicznych, o które tak się bijemy w Wytycznych, w całym naszym programie uzdrawiania i usprawniania gospodarki.

Dyskusja przedjazdowa wyzwoli z pewnością prawdziwą lawinę propozycji, wynikających z wieloletnich doświadczeń projektów zmian w organizacji pracy, kooperacji, racjonalizatorstwa, oszczędzania. Ludzie w czasie tych dyskusji podnoszą rękę i powiadają, że w naszym zakładzie trzeba zmienić to lub tamto. Gdyby do końca grudnia zebrać te głosy na papier, powstałaby wielotomowa encyklopedia, suma absolutnych prawd o wszystkich dziedzinach naszego życia. Wytyczne są na przestrzeni dwudziestopięcioletnia największą, gigantyczną ankietą, nie podają jednak, jak ten bogaty materiał będzie wykorzystany, ściśle, jakimi drogami i czy naprawdę zobowiązująco dotrze z symbolicznych Zdzidowic czy ulicy Siennej w Lublinie do Warszawy, a stamtąd znów w teren — wykorzystany i usankcjonowany. Wiemy, że docierać będzie na trybunę Zjazdu poprzez delegatów, wybranych przez innych delegatów. To bardzo daleka i skomplikowana, sztafetowa droga. Z pewnością wiele tych głosów złoży się na dorobek Zjazdu, lecz większość pozostanie na zakładowych, wojewódzkich czy powiatowych szczeblach i tam właśnie powinna stanowić żywą treść pracy na najbliższe lata. Wytyczne, jak powiedziano, są generalną propozycją zbiorową i indywidualnej odpowiedzialności, współuczestnictwa, współautorstwa. Sprawdzianem przyjęcia tej zasady będzie aktywność społeczeństwa w przestrzeganiu tych doświadczeń i wprowadzaniu w życie przedjazdowych propozycji.

I jeszcze jedna sprawa, dotycząca atmosfery i propagandy przedjazdowej. Dla utrzymania wysokiej aktywności społeczeństwa w czynnie i myśli społecznie-politycznej, puszczono te aktywność dwoma nurtami — poprzez dyskusję i czyn społeczny. Ale już teraz, choć dopiero początek tego wielkiego dialogu, dostrzeż można pewne niepokojące tendencje: przerażenie się dyskusji wokół Wytycznych, w dyskusji o Wytycznych, jakby one były dokumentem samym w sobie zamkniętym i skończonym, jakby ich doskonałość czy niedoskonałość były miarą naszych aspiracji. Takie podejście do sprawy jest rezultatem naszych wieloletnich przyzwyczajenia do traktowania oficjalnych dokumentów jako dzieł niepodważalnych, doskonałych i niepodlegających dyskusji. W tym jednak przypadku rozmawianie o Wytycznych, a nie w związku z Wytycznymi, oznacza rozminięcie się z celem, jaki przewidywał ich autorom, oznacza oczekiwanie na aprioryczne prawdy społeczne i gospodarcze, które wypada tylko akceptować. Natomiast fala czynów społecznych i zobowiązań produkcyjnych jaka przetęgała przez cały kraj, przypomniała mi swoim rozmachem propagandowym, ich nieco stabilno-

wym solidaryzmem, że wywołano aktywność gospodarza społeczeństwa spływa tymi samymi torami, jakimi już od każdego kwietnia przygotowywaliśmy się przez długie poprzednie lata do każdego obchodu Pierwszomajowych. Ponieważ te sposoby upamiętniania wydarzeń są mocno wyeksploatowane trzeba by teraz — bezwzględnie podtrzymując te fazy czynów produkcyjnych — robić to jakoś dyskretniej, komunikować społeczeństwu (prasa, radio, telewizja) bardziej pomysłowo, bez hurrapatriotyzmu.

I żeby te czyni nie były fikcyjne! Trzeba pilnie baczyć, czy takie czy inne zobowiązanie nie mieści się w ramach normalnych obowiązków załogi, czy odnajdywanie rezerw mamy nazywać czynem produkcyjnym czy — tak jak być powinno — szukaniem rezerw. I żeby nie było, bo i tak się zdarza — parodił czynów społecznych. Przejrzyjmy się niekiedy rozbudowaną ulicą Kunickiego, przy której przeróżne zakłady pracy i szkoły upodobały sobie realizować czyn przedjazdowy. Ludzie stoją oparci o łopaty, śmieją się, ktoś tam dla rozgrzewki machnie raz drugi i znów przystaje, młodzież szkolna zamiat na pryzmę sypie ziemię za kołnierz lub do teczek koleżanek. Czyny społeczne, zwłaszcza te uliczne, skwerkowe, to ogromnie widowiskowa sprawa. Oby te widowiska nie robiły nam zlej propagandy.

Henryk Pająk

Czy faktycznie Wysoka Rada?

Dokończenie ze str. 1

koordynacyjnej funkcji rady narodowej, w wyniku czego powstawały w wielu miastach i powiatach Lubelszczyzny samodzielne, a nawet odizolowane organizmy gospodarze, uniemożliwiające faktyczne zarządzanie gospodarką narodową w układzie terytorialnym. Jak dotąd, funkcje koordynacyjne i uprawnienia terenowych organów przedstawicielskich w tym zakresie nie są jasno sprezytowane nie tylko w stosunku do jednostek planu centralnego, ale także i planu terenowego, zwłaszcza w relacji: powiat — województwo.

Rozpatrując ten drugi problem można by zadać pytanie: jaką rolę gospodarza sprawuje Miejska Rada Narodowa w Lublinie wobec przedsiębiorstw przemysłu terenowego?

Przed laty podlegały bezpośrednio Prezydium MRN wszystkie przedsiębiorstwa przemysłu terenowego, cały handel i gastronomia. Od pewnego czasu zasięg „ręki gospodarza” był systematycznie skracany decyzjami PWRN. Podporządkowano więc bezpośrednio władzom wojewódzkim takie przedsiębiorstwa jak „Lubgal”, „Lechia”, „Gracja”, „PDT”, a ostatnio LZG „Śródmieście” i LZG „Stare Miasto”. O ile jeszcze decyzje wobec „Gracji” można uznać za celowe z uwagi na powstanie oddziałów tego przedsiębiorstwa w wielu ośrodkach Lubelszczyzny, o tyle w stosunku do pozostałych jednostek gospodarczych i handlowych pełnej zasadności doszukiwać się trudno. Ale — jak powiadają łacinicy — były one ad manum (pod ręką, gotowe), decyzjom więc PWRN nie musiał towarzyszyć wysiłek techniczno-gospodarczy, ale wystarczyło przygotować odpowiednią uchwałę.

Tego rodzaju decyzje ze strony Prezydium WRN pozbawiły Miejską Radę Narodową nie tylko roli gospodarza swego miasta i swoich przedsiębiorstw, ale jednocześnie spowodowały naruszenie więzi pomiędzy działalnością społeczno-gospodarczą Rady, a budżetem miasta. Powstały zakłócenia między planowaniem finansowym a racjonalną, opartą na zdrowych zasadach gospodarką budżetową, o której przecież głównie decyduje wysokość dochodów własnych.

Nie jest tajemnicą, że lubelskie przedsiębiorstwa przemysłu terenowego, Powszechny Dom Towarowy i gastronomia przynosiły w każdym roku poważną akumulację i zasilały budżet miasta kwotą ponad 100 mln złotych.

Pozbawiono więc miasto własnych, b. poważnych środków, tak koniecznych na finansowanie infrastruktury społecznej, co spowodowało faktyczne ograniczenie roli MRN jako gospodarza Lublina.

Zastosowany w to miejsce system udziału miasta w dochodach instytucji spółdzielczych i tzw. dotacji wyrównawczej PWRN nie stwarza stabilności budżetowej miasta, a co więcej — przeciwdziała materialnemu zainteresowaniu się PMRN w lepszym gospodarowaniu tych przedsiębiorstw. Ponadto dotacja wyrównawcza pozwala na liczenie się z ewentualnością jej zwiększenia lub zmniejszenia. Praktyki przy tym uczy, że możliwe jest taka w toku wykonywania budżetu istnieje.

Wydał się więc, że nie może być dobrym gospodarzem ten, kto stale liczy na „dobrego wujka”. Nie może być także i ten, kogo się stale prowadzi za rękę, za kogo się decyduje, postanawia, planuje itp. Wystarczy choćby przytoczyć fakt, iż w historii MRN w Lublinie nie było jeszcze roku gospodarczego, w którym by nie dokonano korekty planów. Powodowało to naruszenie zasady kompleksowości planu terenowego i jego wewnętrznej zgodności. Brak stabilności tego planu wydatniał się także na styku zadań rzeczowych i finansowych na skutek podejmowania jednostkowych decyzji resortów lub poszczególnych wydziałów PWRN. Nawiasłem mówiąc praktyka ta dotyczyła nie tylko MRN w Lublinie, ale wszystkich pozostałych rad powiatowych naszego województwa.

W poszukiwaniu źródeł powstawania tego rodzaju decyzji, naruszających stabilność terenowych planów gospodarczych, należy wskazać na lukę ustawodawczą. Nie mamy bowiem dotąd jednolitej ogólnopństwowej normy prawnej, która by nadała pełną stabilność sam proces planowania, a jednocześnie precyzowała jednoznacznie sam proces planowania. Brak tej normy pozwalał i pozwala na ogromną ruchliwość planu, jego częste zmiany w toku wykonywania w zależności od tendencji centralnych i stopnia rozbudowywania uprawnień resortów w stosunku do gospodarki terenowej, oraz podejmowanych decyzji jednostek wojewódzkich wobec terenowych.

Gdyby więc terenowe rady narodowe posiadały do swej dyspozycji tego rodzaju oręż, jak ustawy o planowaniu gospodarczym, można by wówczas mówić o pełnej stabilności planu terenowego. W oparciu o nią następowałyby procesy integracji planu centralnego i terenowych, powstałyby w kraju konsekwentnie jednolity system w tym zakresie.

Sama ustawa nie rozwiąże jednak problemu konkretnych decyzji gospodarczych, tych okresowych i wieloletnich. W ślad za tym powinny pójść kompleksowe analizy i oceny całokształtu gospodarki w przekroju miasta czy powiatu, a więc pełne sprzężenie informacji naukowej z programem rozwoju gospodarstwa i społecznego. Na obecnym etapie zarządzania gospodarką terenową dobra wola i jak najlepsze chęci nie wystarczą. Liczyć się może tylko i wyłącznie mądre, dalekowzroczne polityka w dziedzinie organizacji życia społeczno-gospodarczego ludności oraz świadczą na jej rzecz. Każda bowiem przypadkowość w podjęciu decyzji gospodarczej będzie dawała o sobie znać z całą ostrością. Tak jak obecnie na przykładzie przestępnego zagospodarowania Lublina obserwujemy wiele napięć, których przy innych decyzjach można było uniknąć.

Ryszard Dunin

Szukamy rezerw w budownictwie

Stanisław Matyaszewski

ROZSZERZENIE zadań budownictwa, w tym i mieszkaniowego, wynika z nowego programu nakreślonego przez VIII Plenum KC PZPR oraz z Wytycznych KC PZPR na VI Zjazd Partii. Dla Lubelszczyzny oznacza to oddanie w biegnącej pięcioletce 33 tys. mieszkań, a w następnej około 50 tys. — przy równoczesnym zwiększeniu nakładów na budowę obiektów usługowych, handlowych i socjalnych od 25 do 30 procent.

Tak szybki wzrost zadań wymaga niezwłocznego podjęcia opracowania analizy stanu istniejącego budownictwa Lubelszczyzny ze wskazaniem kierunków i zadań dla wszystkich działów gospodarki narodowej i jednostek organizacyjnych biorących udział w procesie planowania i realizacji inwestycji. Należy przeanalizować — przez odpowiednio powołaną komisję specjalistów — cały proces inwestycyjny od programowania, projektowania urbanizacji i uzbrojenia terenu, organizację procesów inwestycyjnych, produkcji i transportu materiałów i wyrobów budowlanych, wykonawstwa budowlanego i montażu aż do eksploatacji własnie.

Poważne zahamowanie budownictwa mieszkaniowego powoduje brak terenów uzbrojonych. Powstaje więc problem koordynacji inwestycji komunalnych (podziemnych sieci magistralnych i miejskich komunalnych) z budownictwem miejskim i przemysłowym. Planowane środki inwestycyjne na urządzenia komunalne sieci wodociągowo-kanalizacyjnej ulicznej, gazowej i ciepłowniczej są jeszcze niewystarczające dla zaspokojenia potrzeb budownictwa. Rozbudowa urządzeń komunalnych wiąże się z statystycznym zapotrzebowaniem na izby mieszkalne i brak środków na jedno zahamuje realizację drugiego.

Należy prowadzić kompleksowe badania i analizy techniczno-ekonomiczne w zakresie źródeł poboru, zapotrzebowania i pokrycia energii oraz wody, co pozwoli na ustalenie właściwych koncepcji ujęć, oczyszczania i doprowadzenia ścieków oraz źródeł energii itp.

Z urbanizacją i uzbrojeniem terenu wiąże się zagadnienie koncentracji inwestycji w skali osiedla, regionu czy też większych placów budów. Koncentracja zadań zwiększa moc przerobową jednostek wykonawczych, zdolnych wtedy nadać budownictwu cechy najbardziej zbliżone do produkcji przemysłowej. Przez uprzemysłowienie można osiągnąć dużą wydajność i zwiększyć moc produkcyjną, co pozwoli również na lepszą koordynację i bilansowanie zadań inwestycyjnych z mocą produkcyjną przedsiębiorstw. Koncentracja robót budowlano-montażowych pozwoli na osiągnięcie efektywności w produkcji budowlanej opartej na prefabrykacji i wysokiej mechanizacji. Scalenie zadań na nowych terenach połącznie z sobą prowadzenie inwestycji wspólnych i towarzyszących jak: uzbrojenie terenu, wykonanie urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych i energetycznych, urządzeń administracyjno-socjalnych, itp. Należy podjąć walkę z rozproszaniem mocy produkcyjnych dużych przedsiębiorstw na małych, rozrzuconych placach budów.

Zwiększenie efektywności w rozwiązaniach konstrukcyjnych, technologicznych i materiałowych należy przede wszystkim do biur projektowych. Oszczędności należy doszukiwać się w maksymalnym zmniejszeniu ciężaru budynków, a zatem i zużycia podstawowych materiałów. Tendencje rozwojowe budownictwa za granicą wskazują na konstrukcje szkieletowe jako przyszłościowe, uzyskujące najlepsze wskaźniki techniczno-ekonomiczne, dające swobodę w projektowaniu i modernizacji. System szkieletowy pozwoli na ujednolicenie produkcji elementów i stworzy warunki do przemysłowej kooperacji jednostek pracujących dla budownictwa. Technologia wykonawstwa dla systemów szkieletowych przeniesie roboty wykończeniowe do zakładów wytwarzających, wprowadzając lekkie konstrukcje i tworzywa sztuczne, co zwiększy wydajność pracy i skróci cykl produkcyjny.

Moc przerobowa biur projektowych i Pracowni Urbanistycznej MRN jest za mała i nie nadąża za wzrostem zadań i nakładów inwestycyjnych. Odczuwa się brak jednostki wiedzącej w procesie projektowania, koncentrującej całość problematyki projektowej, w tym opracowań studialnych. Praca biur projektowych nie zawsze jest nowoczesna i nie zawsze posiada nowoczesną organizację opartą o podstawowe jednostki, jakimi są pracownice branżowe z fachowym kolektywem. Należy podnieść rangę biur projektowych, odebrać projektantów od prac administracyjnych i ogólnobiurowych, zmniejszając i scalając przepisy i zarządzenia, wprowadzić nowoczesne pomoce do projektowania (tablice, nomogramy), arytmometry elektroniczne, metody projektowania modelowego i fotomodelowego.

Podstawą do projektowania jest asortyment materiałów budowlanych dostępnych na rynku. Jak wiemy, przemysł materiałów budowlanych nie nadąża za tempem wzrostu produkcji budowlanej i nie wyprzedza wzrostu budownictwa nawet w zakresie materiałów tradycyjnych, takich jak kruszywa czy prefabrykaty.

Plan rozwoju przemysłu materiałów budowlanych musi wynikać z ustalonego wieloletniego planu rozwoju budownictwa w naszym regionie, opracowanego na zasadzie prognozowania.

Należy powiększyć produkcję prefabrykatów systemem poligonowym i fabrycznym, rozwinąć produkcję kruszyw sztucznych jak keramzyt, agloporyt, glinoporv, które mają uzupełnić bilans kruszyw naturalnych. Celowe wydaje się wprowadzenie badań naukowo-technicznych nowych technologii nad wykorzystaniem lokalnych pokładów lessu, glin i ilów w przemyśle ceramicznym, nad dużymi elementami płyt ściennych z gżobetonu belitowego z gotową fakturą. Należy się liczyć z koniecznością stosowania tworzyw sztucznych i lekkich konstrukcji metalowych, w tym aluminiowych.

W wykonawstwie budowlanym obserwuje się deficyt mocy przerobowej, zwłaszcza w Lublinie, co objawia się

w opóźnieniach inwestycji miejskich. Jakość robót budowlano-montażowych jeszcze nie jest zadowalająca. Do innych mankamentów wykonawstwa budowlanego należy małe zmechanizowanie procesów produkcji, brak rezerwy materiałów budowlanych i niedostatek obsady kadrowej w służbach technicznych.

Zdarzające się przypadki niedostatecznej jakości robót można zredukować przez zachowanie warunków rytmicznej pracy. Część winy spada na dostawców materiałów, ale część — na wykonawców. Wiadomo jednak, że usterek całkowicie uniknąć się nie da i dlatego też powinny powstać specjalne ekipy usuwające usterki, w okresie gwarancyjnym. Chodził byśmy o to, aby nie odrywać ekip rzemieślników od ich normalnej pracy na innych obiektach.

Zadania inwestycyjne należy koordynować z możliwością wykonawstwa przez analizę bilansów zadań i środków z możliwością produkcji oraz analizę obliczeń w oparciu o elektroniczną technikę obliczeń ETO. Należy bardziej zmechanizować produkcję materiałów budowlanych oraz uprzemysłwić procesy montażu budowli.

Uprzemysłwienie budownictwa oraz zmiany w technologii i technice wykonawstwa wymagają odnowy struktury wykształcenia i zatrudnienia. W oparciu o plany rozwoju gospodarki naszego regionu oraz o analizę i bilans wykorzystania obecnej kadry inżyniersko-technicznej należy określić potrzeby kadry wg kierunków i specjalności oraz ustalić plan zabezpieczenia tej kadry. Należy wykorzystać nowe metody planowania, szkolenia i doskonalenia kadr w dostosowaniu do postępów i rozwojowych programów budownictwa. W rozwiązaniu problemu szkolenia kadr inżynierskich dla budownictwa pomaga Wyższa Szkoła Inżynierska kształcąca specjalistów budownictwa mieszkaniowego i przemysłowego, inżynierii sanitarnej, budowy dróg i ulic, mechaników oraz elektryków.

Polityka kadrowa powinna być prowadzona w taki sposób, aby zachęcała do pracy w budownictwie.

Człowiek decydujące ogniwo

Ryszard Bączek

Zaden nawet najgenialniejszy mechanizm ekonomiczny nie przyniesie założonych skutków bez subiektywnego zaangażowania się społeczeństwa w jego funkcjonowanie.

Prof. dr. Z. Morecka

JEST rzeczą dość symptomatyczną, że prawie wszyscy dyskutanci doszukują się głównych przyczyn wielu słabości wyłącznie w rozwiązaniach obowiązującego systemu ekonomicznego. Charakterystyczne dla toczącej się dyskusji skoncentrowanie na przyczynach o charakterze instytucjonalnym nie jest — moim zdaniem — słuszne, gdyż nie wyczerpuje problemu. Wydaje mi się, że aczkolwiek czynniki instytucjonalne związane z obowiązującym systemem planowania i zarządzania gospodarką narodową stanowią bardzo ważną grupę przyczyn wielu nieprawidłowości, to jednak nie obejmują one wszystkich z grupy przyczyn ważnych. W dyskusji występuje więc poważna luka, która jest wyprowadzanie wszystkich głównych przyczyn zła wyłącznie z samego systemu ekonomicznego oraz wiązanie działalności reformatorskiej głównie ze zmianą tego systemu.

Nie jest to słuszne podejście. Pragnienie choć częściowego wypełnienia tej luki stanowi właśnie inspirację do zabrania głosu.

Obowiązujący obecnie w Polsce system zarządzania gospodarką opiera się m. in. o zasadę oceny wyników działalności przedsiębiorstw wg stopnia wykonania planu. Przyjęcie takiego warunku za główne kryterium oceny i uzależnienie od niego wypłaty premii oraz nagród z funduszu zakładowego, stanowiło dla przedsiębiorstw kierunkową wytyczną przy wyborze przez nie strategii działania.

Obecnie wiemy, że przedsiębiorstwa zareagowały na to kryterium logicznie, ale jednocześnie — sądząc po skutkach — negatywnie. Mianowicie, dążąc do zagwarantowania sobie premii i nagród pieniężnych, przedsiębiorstwa: 1) przyjmowały do realizacji plany możliwie niskie, a nie jak przypuszczano — mobilizujące, 2) gromadziły nadmierne ilości czynników produkcji przy pomocy których wykonywały plan (inwestycje i siłę roboczą), 3) świadomie dążyły do pogarszania relacji środki — plan, gdyż wyższy stosunek tej relacji dawał większe możliwości manewru, pozwalal łatwiej znieść skutki wadliwej organizacji pracy, absencji itd.

Wybrana przez przedsiębiorstwa strategia, stanowiąca wyraz przystosowania się do warunków wyznaczonych przez kryterium oceny ich pracy, pozwala na postawienie tezy, że celem przedsiębiorstw stało się w rzeczywistości osiągnięcie premii i nagród pieniężnych, natomiast wykonanie produkcyjnych zadań planowych stało się wyłącznie środkiem osiągnięcia celu.

Należy zdawać sobie sprawę, że przyjęty przez przedsiębiorstwa sposób wartościowania zadań produkcyjnych i funduszy premialnych, mający decydujące znaczenie w praktyce funkcjonowania całej gospodarki, nie był wyłącznie skutkiem wadliwej konstrukcji systemu. Przecież praktyka gospodarcza nie jest tylko prostą determinacją wyłącznie czynników instytucjonalnych. Główne przesłanki zawsze tkwią w człowieku, w społeczeństwie.

Pragnę podkreślić, że przyjęta przez przedsiębiorstwa praktyka stanowiła duże zaskoczenie dla autorów systemu. W chwili tworzenia systemu zakładano mianowicie, że w gospodarce socjalistycznej, opartej na społecznej własności środków produkcji, wszystkie przedsiębiorstwa zainteresowane będą w wyrzuceniu maksymalnie możliwej produkcji przy najniższych kosztach. Dążąc do osiągnięcia optymalnych relacji ekonomicznych między nakładami i efektami, zainteresowane będą w pełnym wykorzystaniu posiadanych zdolności produkcyjnych. Ukrywanie rezerw nie będzie leżało w ich interesie. Wyrazem posiadanych przez przedsiębiorstwo możliwości stanie się plan, którego pełne wykonanie będzie oznaczalo, że przedsiębiorstwo zrobiło maksimum tego, na co je było stać.

Diś stwierdzamy, że praktyka nie potwierdziła tych założeń. Wiemy, że przedsiębiorstwa nie chciały, a Centrum nie potrafiło doprowadzić w praktyce do ustalenia przez przedsiębiorstwo zadań na poziomie ich rzeczywistych możliwości. Powstało pytanie, dlaczego przedsiębiorstwa nie chciały efektywnie gospodarować? Czy rzeczywiście wybrana przez nie strategia była skutkiem tylko wadliwego systemu? Otóż nie wydaje mi się, aby tak było i dlatego właśnie twierdzę, że ograniczenie się do wyspecyfikowania przyczyn tkwiących w samym systemie nie wyczerpuje problemu.

Sądzę, że potraktowanie przez przedsiębiorstwa premii jako celu, a produkcji jako środka osiągnięcia celu, miało swoją przyczynę we względnie niskim poziomie świadomości społecznej, która była i nadal pozostaje nieadekwatna do wymogów gospodarki socjalistycznej.

Jeżeli więc dyskusja nad przyczynami negatywnych zjawisk ekonomicznych ma doprowadzić do przekroczenia wszystkich przyczyn, to, oczywiście, nie może się ograniczyć do tych tzw. instytucjonalnych, ale musi objąć także tę drugą grupę, związaną ze stanem świadomości społecznej, etyką zawodową. Bardzo wiele schorzeń społecznych ma swoją przyczynę poza systemem. Ich przekroczenie wymaga przebudowy postaw ludzkich.

Mocniejsze zaakcentowanie w dyskusji znaczenia właściwych postaw dla sprawnego funkcjonowania gospodarki wydaje mi się szczególnie obecnie — bardzo potrzebne. Kształtowanie właściwych postaw, walka o wysoką etykę zawodową prowadzi właśnie do zwiększenia stopnia dostosowania stanu naszej świadomości do wymogów socjalistycznej gospodarki.

Musimy rozumieć, że jeżeli system ekonomiczny, nad którym pracujemy, ma być efektywny, to człowiek musi być subiektywnie zaangażowany w jego funkcjonowanie, nie może reprezentować postawy w rodzaju: „poczekamy, zobaczymy”. Gospodarka socjalistyczna zaczyna się od ludzi, realizuje się przez ludzi i służy ludziom. Od ludzi wszystko w niej zależy. Ludziom więc, ich postawom oraz warunkom kształtującym te postawy należy poświęcić główną uwagę.

Kształtowanie właściwych postaw jest procesem złożonym, w którym trzeba doceniać, ale nie należy zbyt fetyzizować, instrumentów typu materialnego. Wprawdzie wiemy, że byt kształtuje świadomość człowieka, ale również stwierdzamy, że zmiana bytu materialnego nie musi automatycznie pociągać za sobą zmiany świadomości w znaczeniu pozytywnym. Przecież wśród tych, którym „stawy zarządzały od bezruchu, mózgi uschły od rutyny, twarze stęwały od gromkiego frazesu”, znajduje się wielu awansowanych przez społeczeństwo. Zmiana ich bytu nie spowodowała jednak zmiany ich świadomości na odpowiednią do nowych warunków i bieżących potrzeb.

Kształtowanie właściwych postaw ludzkich i wysokiej etyki zawodowej musi zakładać zastosowanie takich środków, które będą ułatwiały ludziom występowanie przeciwko złym obyczajom bez narazania się na izolację od środowiska, które będą wytwarzały motywację na dobrą robotę, a nie na nierobstwo i cwaniactwo.

Musimy dysponować w tym celu odpowiednim systemem dydaktyki społecznej, obejmującym wszystkich, od wieku przedszkolnego do dorosłych. Wszystkim należy wpajać obowiązkowość, solidność, aktywność umysłową, a więc te cechy, które stanowią podstawę socjalistycznej etyki zawodowej i są wyrazem aktywnej roli człowieka.

W naszym narodzie istnieją duże zasoby ambicji rozwiązywania trudnych problemów. Społeczeństwo nasze jest dosłownie stęsknione za dobrą robotą, organizacją, odpowiedzialnością, życzliwością, za sprawiedliwą oceną postaw. Te ambitną tęsknotę możemy z korzyścią zdyskontować wyzwalając zawartą w społeczeństwie energię poprzez tworzenie materialnej i organizacyjnej bazy dobrej roboty oraz pod warunkiem moralnej mobilizacji i stworzenia systemu sprawnej działających ocen. Takiego systemu obecnie nie mamy. Nie opracowaliśmy jeszcze jednoznacznych i trwałych kryteriów oceny postępowania człowieka. Praktyka raczej potwierdza tezę o okresowych zmianach tych kryteriów. Nie jest to dobre zjawisko.

System oceny ludzi musi być oparty na sprawdzalnych kryteriach przydatności społecznej. W obecnej sytuacji stosunki w tym zakresie są jeszcze bardzo odległe od tego, co jest sprawiedliwe i słuszne. Skuteczność naszego działania zależy od cech ludzi: pracowitości, rzetelności, dymy zawodowej. Cechy te składają się na pojęcie etyki zawodowej. Dlatego dyskusowanie o stanie tej etyki i jej wpływie na wyniki naszej działalności jest również ważne jak dyskusja o rozwiązaniach czysto systemowych.

Może komisarz oszczędnościowy?

Władysław Korciak

WIADOMO wszystkim, że rzetelna, produktywna praca obywateli oraz poszanowanie mienia społecznego są podstawowymi wymogami rozwoju gospodarczego kraju, wzrostu dobrobytu ludzi pracy. Jednak wymogi te nie są, niestety, należycie przestrzegane. Co jest powodem? Moim zdaniem człowiek, od którego wymaga się intensywniej, dobrej pracy, musi mieć uzasadnione przekonanie, że wyniki tej jego pracy nie są trwonione, że dobrami materialnymi kraju gospodaruje się dobrze.

W jaki sposób zaszczerpić to przekonanie u ludzi? Sądzę, że może i uczynić to powinna władza, dysponująca mieniem społecznym, a to przez przyjęcie zasady bezwzględnej oszczędności, co powinno być stale akcentowane w pracy oświatowo-wychowawczej. Może byłoby celowe powołanie do życia, niezależnie od działalności NIK-u, urzędu Komisarza Oszczędnościowego, kontrolującego na co dzień czynności dysponentów mieniem społecznym? Taki urząd istniał przez pewien czas w okresie międzywojennym, a wyniki jego pracy były wysoce pozytywne. Hasło: oszczędność w gospodarce mieniem społecznym — powinno być stale realizowane.

Druga bolączką społeczną, wysoce demoralizującą i przynębiającą ludzi pracy, jest panujące, niestety, wśród obywateli przekonanie, że „za pieniądze można wszystko załatwić i uzyskać”. Podobno są indywidualiści, które z tego rodzaju nieuczynnych praktyk zdobywają duże pieniądze.

Trzeba to zlikwidować w sposób szybki i bezwzględny, tak jak obecnie zupełnie skutecznie likwiduje się wycieczki chuligańskie i piratów drogowych, przy czym akcje te powinny mieć charakter czynności statycznych a nie dorywczych. Tylko taki sposób walki z przestępstwami może dać pozytywne wyniki.

Komu trzęsą się portki?

Romułd Wiśniewski

DEBATUJEMY nad przyszłym kształtem Polski i musimy, w ramach tego, wypowiedzieć się o przyszłym kształcie Lubelszczyzny. Trzeba sobie powiedzieć, że nie zastanawialiśmy się dotychczas nad tym, a w każdym razie nie w szerszej perspektywie. Trzeba sobie powiedzieć, że wiele koncepcji lansowanych u nas dotychczas, podyktowanych było albo doraźnymi celami, albo też bez oglądania się na to, co się dzieje na świecie, jakie prawidła nim rządzą.

Główną i najlepszą drogą rozwoju województwa widzieliśmy w jego uprzemysłwianiu i to uprzemysłwianiu równomiernym, niemal na zasadzie: „w każdym miasteczku jakiś zakład produkcyjny”. Tymczasem wiadomo, że tego nie robi już prawie nikt. Przemysł musi być koncentrowany (co nie znaczy, że całkowicie, do absurdu), bo to zmniejsza jego koszty, zapewnia szybki rozwój, modernizację, elastyczność działania i produkcji. Wiadomo więc, że marzenia, iż w przyszłości Lubelszczyzna będzie tak uprzemysłowiona jak Śląsk, nie były realne. Nie będzie. Raczej należy się spodziewać większej dysproporcji w uprzemysłwieniu. Oczywiście i w naszym województwie są rejon o dużym natężeniu przemysłu, jak Lublin — Świdnik, Puławy czy Chełm i one też zapewne będą dalej intensyfikowane, ale to oznacza tylko, iż oprócz dystansu pomiędzy Śląskiem i Wybrzeżem a naszym województwem, będziemy mieli jeszcze dysproporcje wewnętrzne.

Czy to wszystko zapowiada dalsze zmniejszenie szans życiowych mieszkańców województwa? Edward Gierek w czasie swej sierpniowej wizyty w Lublinie wskazywał naszym działaczom na przykłady Danii i Holandii, a u nas — Wielkopolski i Pomorza, w których rolnictwo daje ludności nie gorsze warunki bytu niż przemysł. Nie było to odkrycie Ameryki, a jedynie obalenie pewnego tabu i mitu zarazem. Uprzednio bowiem wystąpienie z takim stanowiskiem nie było rzeczą dobrze widzianą, choć część województwa ma właśnie znakomite, odpowiednio zagospodarowane pola lepsze plony niż w Wielkopolsce. Więc może zamiast uporczywych wałk o byle zakład produkcyjny dla każdego osiedla należałoby się zastanowić, dlaczego mimo 27 lat starań i ogłoszenia coraz to nowych planów nasze lubelskie rolnictwo jest jeszcze tak zacofane w stosunku do czołwki?

Mieszkańcy województwa włożyli wiele wysiłku w aktywizację małych miasteczek i osad, co zresztą przeprowadzane było w ramach pewnej akcji, bo u nas akcje zawsze lepiej wychodzą niż żmudna, codzienna, systematyczna praca. Konieczna jest chyba wszakże nowa ocena aktywizacji. Do czego ma ona prowadzić? Do jakiego rozwoju tych miasteczek? Wzrostu ludności, zapewnienia jej mieszkań, miejsc pracy, obiektów handlowych i kulturalnych, odpowiedniej liczby miejsc w szkołach, żłobkach itd.? Do tego szliśmy i byliśmy to chyba błędna droga. Małe miasteczka i osiedla powinny być przede wszystkim centrami administracyjnymi i handlowo-usługowymi dla otaczających je terenów rolniczych. A jeśli potrzebny jest im jakiś przemysł, to przetwórstwa spożywczego, przerabiającego produkty okolicznego rolnictwa. Tylko dla ludzi zatrudnionych przy tym konieczna jest odpowiednia baza mieszkaniowa i urządzeń socjalne. Całą resztę ludności, całą nadwyżkę siły roboczej najłatwiej byłoby przeprowadzić do większych ośrodków przemysłowych, gdzie i każde nowe miejsce pracy mniej kosztuje i tańsze jest też budownictwo mieszkaniowe i socjalne. Spróbujcie dobudować dodatkowo 200 mieszkań w Lublinie, a spróbujcie tyleż w Bychawie!

Dlatego właśnie można wątpić, czy ulokowanie w Łęcznej zakładu wytwórczego elementów elektroniki, zatrudniającego kilkadziesiąt osób, było rozwiązaniem lepszym, niż gdyby ten zakład uruchomiono w Lublinie. Część zatrudnionych w Łęcznej to ludność miejscowa, ale część to zamiejscowcy. Mieszkają na sublokatorstwie, w końcu dobijają się będą o własne mieszkania, trzeba będzie im zbudować; w Lublinie byłoby taniej, łatwiej i może szybciej.

Trzeba zastanawiać się nad tym, czy dalej budować w Piskach, Bełżycach, Lubartowie czy teje Łęcznej 3-5-blokowe miasteczka mieszkaniowe dla ludzi, którzy dojeżdżają codziennie do pracy do Lublina, czy też należałoby ich przeprowadzić do miejsca zatrudnienia, oszczędzić męczących dla nich, a kosztownych dla gospodarki narodowej podróży. Rzecz jasna, przy takim rozumowaniu konieczne będzie zdanie sobie sprawy, że migracja może być nie tylko charakterem ze wsi do miasteczka, z miasteczka do Lublina, Puław, czy Chełma, ale także z Lubelskiego do innych województw, bardziej uprzemysłowionych. Migracja taka zresztą istnieje, traktujemy ją dotychczas jako zło konieczne i coś wstydliwego. Wyjeżdżają głównie ludzie młodzi i w sile wieku, to zrozumiałe. Ale jeśli urządzenie ich (danie pracy, mieszkania itd.) np. w Gdańsku czy Wrocławiu ma być tańsze i efektywniejsze niż u nas, to nie ma żadnego sensu nie ulokować ich tam. Chodzi przecież o to, byśmy nasze cele osiągnęli jak najtańszym kosztem. Nie powinno to umniejszyć w naszym tempie wzrostu stopy życiowej tych, co pozostają w województwie — bo właśnie pieniądze zaszczerpane przez kasę państwową dzięki tym operacjom powinny być rozdzielone tak, aby wszystkim było względnie jednakowo dostatnio, bez różnicy, czy mieszkają w wielkich aglomeracjach przemysłowych, czy w ośrodkach średniej wielkości, czy w odległych regionach wiejskich.

Dynamizacja gospodarki wymaga wzmocnienia ruchliwości społecznej, coraz częściej przeprowadzania się, zagęszczania jednych rejonów i niemal wyłudniania innych, wszystko stosownie do potrzeb. W przodujących gospodarce krajach europejskich obok wielkich skupisk ludzkich trafiają się obszary o z rzadka rozrzuconych gospodarstwach rolnych, w których dzięki wysokiej mechanizacji uprawia się olbrzymie arealy. Chcąc gonić te produkujące kraje, nie możemy traktować Polski jako konfederacji województw, a województwa jako konfederacji powiatów itd., w których każdy sobie rzepkę skrobie, spokojnie, bez raptu podczas gdy świat nieustannie przyspiesza.

Fala publicznych dyskusji przelewa się przez kraj. Na tematy podstawowe i na pochodne. Pochodną koniecznością migracji będzie wzrost głównych ośrodków miejskich i przemysłowych. Lublin i większe miasta województwa mają plany urbanistyczne opracowane przed laty kilku, a nawet kilkunastu i choć modyfikowane, wychodzące wciąż z tych samych założeń. A tymczasem w Pol-

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 7

ZAGADALISMY się i nie wiadomo kiedy zgubiliśmy drogę. Ale to nas nie martwiło, droga bowiem wydawała się nieznaczną, a bezdroża, którymi jechaliśmy, były łatwe do przebycia. Zdaliśmy się więc na instynkt naszych koni. Na ugorach rosły krzaki berberysu, jaluwece, tarniny i głogi, przybladłe jak cała okolica o tej bladej porze roku.

Wypowiedzieliśmy już każdą myśl, na jaką było nas stać, we wszystkich możliwych wariantach. Zauważyłem, że mój towarzysz się powtarza. Gadaliśmy, że tak powiem, z rozpedu. W porze posiłków prześcigaliśmy się w obdarowywaniu prowiantem. A gdy zauważyliśmy, że kończą się nasze zapasy, każdy z nas chciał być tym, który oszczędza na rzecz współtowarzysza. I było to szczerze. Oszczędzaliśmy w skrytości. Lecz jak ukryć cokolwiek w tym pustkowiu!

Gadaliśmy beztroško, zjadając ostatni kęs kanapki, choć pomyśleliśmy — paskudna historia — bo myśleliśmy uczciwie, na spółkę. Zaproponowałem polowania na króliki. Po drodze mineliśmy wiele tych zadziwionych zwierzątek. Nie wydawały się płochliwe. Zatrzymywały się w niewielkiej od nas odległości i przysiadły na tylnych łapkach. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób można by je zabić. Broni nie mieliśmy. Polowania przy pomocy sidła zmusiłoby nas do długich postojów. Nie było innej rady, jak zabić je kamieniami. Po próbie naszych umiejętności okazało się, że jedynie mój towarzysz potrafi rzucać celnie.

Ale właśnie wjechaliśmy w okolice, której króliki nie zamieszkiwały. Krzewy rosły tu mniejsze, a źdźbła traw trącone końskim kopytem rozsypywały się w żółty pył. Niedokarmione konie wlokły się ze spuszczonej łbami. Zsiadaliśmy często, by dać im wytchnienie, ale one traktowały nas niewdzięcznie i omal przystawały, gdy tylko wyczuły na grzbiecie ciężar naszych ciał.

Zaproponowałem, by zabić mojego konia. Towarzysz zaprotestował. W końcu jednak zgodził się, że myśl jest niezła, bo korzyści z koni mamy niewiele, a głód daje nam się we znaki, on jednak sądzi, że jego koń będzie odpowiedniejszy, choćby dlatego, że mniej kościsty. Obie skapy były równie żałosne wychudzone. Miałem to przewagę, że pomyślałem wyszedł ode mnie. Postanowiliśmy zabić mojego konia.

Zrobił to towarzysz. Odprawiałem jego wierzchowca w ukrycie, gdy usłyszałem kwik zabijanego konia. Prowadzony przeze mnie stanął dęba. Ledwo go opanowałem. Co prędzej uwiązałem do najbliższego krzaka i wróciłem, by pomóc w rozbiórce mięsa.

Właśnie mój towarzysz zabierał się do obłupiania konia ze skóry. Wyjaśnił z zapałem, że należy to zrobić jak najszybciej, bo z ciepłego trupa skóra łatwiej schodzi. Mimo woli zauważyłem strzaskany maczugą łeb.

Mój koń miał szczególnie miły kształt nóżdży. Nie zdarzyło się, by mnie nie widział, gdy byłem w pobliżu. Niekoniecznie musiał patrzeć prosto w oczy, widział mnie i bez tego. Żył przy moim współudziale. Teraz mnie nie zauważył. Odebrałem swoją część.

Towarzysz zapewnił mnie, że rozbiór mięsa nie potrwa długo, jakby robił to przede wszystkim dla mnie, a pośpiech był jeszcze jednym przejawem jego poświęcenia. Uspokajałem go z nie mniejszą gorliwością.

Odsłonił wielkie wnętrza mojego konia. Odurzony zapachem trzawy szybko odeszłem na stronę i wydusiłem z siebie odrobinę żółtkowej substancji. Towarzysz obrał kości. Mięso spakował w próżne torby. Dopiero wtedy zasiedliśmy do uczy.

Przejedliśmy się i wynikły z tego kłopoty. Nastąpiła pierwsza cisza. Przejęliśmy się niepokojącymi przemianami, jakie dokonywały się wewnątrz nas. Zapatrzeni w blade niebo długo leżeliśmy po przeciwległych stronach wygasłego ogniska.

W tym czasie koń wydeptał do naga koło wokół krzewu. Był niezmiernie wychudzony. Odwiązałem go i z trudem przytrzymałem do wygasłego ogniska. Tam objuczaliśmy go pozostałym mięsem. Wtedy z wierzchowcem zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Potrząsał łbem jak skazaniec. Dreszcze przemikały falami po ostrym grzbiecie. Aby go ruszyć z miejsca, szarpnąłem za uzdę, a mój towarzysz popchnął zad. Koń potknął się. Upadł na kolana. Wrzeszczeliśmy i okładaliśmy go pięściami. Pokorny w gruncie rzeczy koń nie miał zamiaru się sprzeciwić. Był tylko słaby i stracił nadzieję.

Od tej pory ciągnęliśmy go na zmianę.



Rys. E. Ingłot

Podróż

Kazimierz Rosiński

Drugiego konia zabiliśmy z podwójnej konieczności. Po pierwsze — nie chciał żyć, po drugie — wykończyły się nasze zapasy. Tym razem wszystkie dokonałem własnymi rękami. Przyznaję, że robiłem to z nie znaną mi dotąd zawziętością. Mięsa uzyskaliśmy niewiele. Rozdzieliliśmy je między siebie i ruszyliśmy dalej.

Okolicę, w której znaleźliśmy się, gęściej porastały krzewy, a trawa była tu bardziej soczysta. Pojawily się tuiste króliki. Przystawały zadziwione naszym widokiem.

Szliśmy bez słowa w tragicznej świadomości, że nie potrafimy przelamać milczącej zapyry między nami. Co pewien czas przystawaliśmy, by zjeść trochę mięsa. Każdy z nas czerpał ze swojej torby, gdyż spożywanie mięsa z torby towarzysza co prawda uwalniałoby go od ciężaru, lecz później uzależniałoby go od drugiego z nas. Sprawa ta na początku naszej podróży byłaby praktycznie nie do rozwiązania, teraz jednakże załatwiona została bez zbędnych uprzejmości.

Nim zjedliśmy resztki naszych zapasów zdarzył się wypadek, który jak sądzę zaważył na naszej wspólnej wędrówce. Od dłuższego już czasu nie przemówiliśmy do siebie nawet jednym słowem. Postępowaliśmy niedaleko od siebie, jednakże zdarzało się, że jeden z nas wyprzedził drugiego. Właśnie byłem w przodzie, gdy mój towarzysz zatrzymał się, aby spożyć (jedną już z ostatnich) porcję mięsa. Nie zauważyłem tego w porę. Potem byłem już za daleko, bym mógł się cofnąć bez wewnętrznych oporów. Oj tej chwili rozdzialiśmy się zdecydowanie. Postępowaliśmy w odległości, która umożliwia nam ewentualne nawiązanie kontaktu, ale żyliśmy na własną rękę. W chwilach zbliżenia dostrzegaliśmy w nim wrogość bardzo czułą na jawne rozpetanie. Nie było do pomysłenia, byśmy przemówili do siebie. Staraliśmy się nie zauważać jeden drugiego.

Męczyła mnie jego bliskość, więc pomyślałem, że i ja go męczę i że to może go zniescierpliwiać. Zaczęłem się obawiać. Byłem w przodzie, więc znalazłem się w pozycji uciekającego, on zaś w pozycji tropiciela. Wydawało mi się wtedy, że wrogość jego przerosła rozsądek, nie pamięta o jej przyczynach, a pragnie zemsty. Teraz nie jestem tego pewny. Być może, bał się stracić mnie z oczu, bym nie zaszedł go z tyłu, a może wierzył w powrót serdeczności?

Zjedliśmy koninę. Wynikły między nami istotne różnice. Tylko on potrafił upolować

królika. Ja żywiłem się zbieranymi po drodze owocami. Na moje szczęście nastąpiła właśnie pora dojrzewania owoców tarniny i głogu, gdyby nie to kto wie, co stałoby się ze mną. Żywiąc się owocami, nie musiałem zatrzymywać się na dłużej. On natomiast przystawał, by przyrządzić sobie pieczeń z królika. Przejęte przez nas pozycje tropiciela i uciekającego były naturalne i wkrótce oswoilem się z tym. Powiedziałbym, że pierwszy raz w życiu sytuacja moja była naprawdę niedwuznaczna. Spodziewałem się, że tak będzie zawsze, bo nie mogłem sobie pozwolić na to, by stracił kontakt z tym człowiekiem, wówczas byłbym w nieustannym lęku przed atakiem z zaskoczenia. Tak było najlepiej.

Miałem nadzieję, że i on docenił korzyści takiego układu. Sytuacja jego była bez porównania korzystniejsza. Żywił się mięsem. Ja natomiast skazany byłem na cierpkie owoce dzikich krzewów. A przede wszystkim ściagał mnie. Jakże pragnąłem być zdolnym ściagać, tak jak on.

Przeraziłem się nie na żarty, gdy mimo dokładnych poszukiwań nie znalazłem mojego tropiciela. Zapomniałem o kierunku i na oślep szamotałem się wśród zarośli w nadziei, że natrafie przynajmniej na wysygnę ogniska. Biegałem bliski obłędu, nie myśląc już nawet o jedzeniu. Dozdoło do tego, że miewałem złudzenia, iż stał za moimi plecami gotów zadać mi cios nożem.

Wreszcie ujrzałem go na wzgórzu. Wypatrzył mnie w dolinie porostej niskimi krzewami. Pomyślałem, że po prostu zgubiliśmy się i teraz równocześnie odnaleźli. A może był to wykalkulowany przezeń manewr? Powodował się dobrą wolą, chciał, bym go tropił, bym zrozumiął bezsens naszego nieporozumienia! Wierzył w możliwość powrotu tych serdeczności, które powróciły już nie mogły.

Od tej pory on uciekał, a ja go tropiłem. W moim pościgu była zawsze o pieczone uda królików i cierpkosć od owoców podłych krzewów. Jednakże miałem jeszcze pozucie umowności naszej sytuacji. Zachowanie nasze miało styl. I minęło dużo czasu zanim zacząłem się niepokoić, co też nastąpi potem. Mogło mu się zdziwić udawanie lęku. Był przecież silniejszy. Nie uciekał skutecznie. W pewnym momencie nabrałem przekonania, że wyraźnie mnie lekceważy. Pomyślałem, że wkrótce będzie mną gardził, aż zirytuje go ta paradoksalna sytuacja i może mnie zabić. Tak myślałem wówczas. Teraz, gdy rozważam tę przygodę, nie wiem na pewno.

Według pierwszej, decydującej o następstwach oceny, sytuacja moja stawała się tragiczna. Nie mogłem zwlekać z wyprzedzeniem niebezpieczeństwa. Postanowiłem go zabić. Przybliżyłem się do niego. Śledziłem go ze zdwojoną bacnością. Okazji było wiele, jednakże nie mogłem się zdecydować. Był silniejszy ode mnie, bardziej zwinnie i pewny siebie. Wiedział, że jestem zaledwie kilka kroków za nim, mimo to zachowywał się jak człowiek niczym nie zagrożony.

Otepiał od długotrwałego napięcia wybrałem moment najbardziej niestosowny. Stał tyłem do mnie przed krzakiem dzikiej róży. Wiedział, że podchodzi. Odwrócił się powoli. W jego oczach dostrzegłem jakąś wielką ulgę. To opóźniło mój skok. Schwyciłem go niepewnie. Zanim zrozumiął, że chcę z nim walczyć, odtrącił mnie. Upadłem na ziemię. Następny atak przyjął zyczliwie. Każdy jego ruch wykazywał, że jest ode mnie zdecydowanie silniejszy. Mimo to obalilem go na ziemię. (Teraz myślę, że dał się pokonać, by dać wyraz swojej zyczliwości). Usadowiłem się na nim jak najwygodniej. Przesłał nawet udawać, że się broni. (Według niego to powinno mnie zadowolić). Wtedy chwyciłem go za gardło. Zdumiało go to, ale jeszcze miał nadzieję, że się opamiętam. Dopiero po chwili zaczął się szamotać. Byłem bliski bezwzględnej zwycięstwa. Nie pozwoliłem się zrzucić. Za późno zaczął się bronić. Skurcze stawały się gwałtowniejsze i coraz krótsze.

Po walce długo leżałem twarzą do ziemi. Wreszcie wstałem i posiliłem się cierpkimi owocami tarniny. Czulem dojmującą część mego pożywienia. Długo krążyłem wokół miejsca, gdzie leżał jego zezwłok. Ale nie jestem ludojadem!

W pewnej chwili spostrzegłem, że wracam. Zmieniłem kierunek i natknąłem się na jego zwłoki. Obrąłem trzeci kierunek, na wschód. Ponieważ już nie musiałem się śpieszyć, zastawiłem siła na króliki. Czekać aż nadejdzie pora, gdy będzie można sprawdzić, czy czego w nich nie ma, spocząłem w zacisznym miejscu. Zapadła pierwsza noc. Gdy się obudziłem ujrzałem wilcze ślepią. Pośpiesznie roznieciłem ogień.

PAŁECZKA

Stanisław Rogala

STOJĘ pośrodku podwórka otoczony stertą narąbanego drzewa... Ojciec zawsze stał pośrodku podwórka otoczony stertą narąbanego drzewa. Ciężką ręką obcierał spoczone czoło i niezmordowanie rwał. Rzadko prostował krzyż, ale jeśli go już wyprostował, siekiera długo stała oparta o ptak.

W takich chwilach musiałem być czujny. Ojciec długo trzymał butelkę, gdy wysyczył ostatnią kroplę, odrzucał ją do tyłu. Należało wytknąć dużo sprytu; butelki leciały w nierównych odstępach czasowych, z nierówną szybkością, a spadały w różnej odległości.

Gdy ojciec rwał drzewo, a niedopita butelka grzała się na słońcu, siedziałem w pobliżu na towarzyszącym kawale drzewa czujny, gotowy na każde skinienie. Potrzebny byłem tylko do jednej, od kiedy pamiętam, stałe tej samej czynności. Spelniałem ją kilka razy w ciągu dnia, dlatego mogłem całe godziny siedzieć beczynnie, mogłem rozmyślać, rozmyślać.

Rozmowa z ojcem nie była długa. Rzucił zwykle, jakby od niechcenia: na jednej nodze. Zawsze wiedziałem, co to oznacza: pieniądze, sklep, ojciec. Biegałem do domu, krzycałem na matkę o pieniądze, pędziłem co sił do sklepu i wracałem do ojca, siadałem byle gdzie i czekałem na następne: na jednej nodze.

Co drugi albo co trzeci dzień, to uzależnione było od rodzaju drzewa, które ojciec rwał, do tej czynności dochodziło jeszcze jedno. Ojciec mówił: na jednej nodze i do kowala.

Pędziłem do sklepu i kowala. O każde postrzenie siekiery musiałem prosić ze łzami. Ojciec nigdy nie dawał pieniędzy.

— Skocz, synku, na jednej nodze, siekiera będzie cacy — mówił kowal plaszcąc mnie po głowie. Wracałem szybko, porywałem siekiere i uciekałem.

Czynności te i te kilka prostych słów stale się powtarzały. Skulony czekałem, kiedy ojciec odłoży siekiere i kiedy poderwie mnie jego głos. Oczekiwanie urozmaicałem sobie zagadkami nie do rozwiązania. Gdy ojciec odkładał zmęczonym ruchem siekiere, starałem się przewidzieć, które usłyszę zdanie: „na jednej nodze”, czy to dłuższe budzące strach „na jednej nodze i do kowala”. Gdy nie trafilem, w głowie rozdziały się posępne myśli: nie rozciżasz się, jeszcze długo nie staniesz obok ojca.

Stoję pośrodku podwórka otoczony stertą narąbanego drzewa...

Pewnego razu ojciec odkładał siekiere zwykłym ruchem, ucieczyłem się bardzo, teraz zgładę, na pewno będzie „na jednej nodze”, przecież dziajał już było „na jednej nodze i do kowala”. Ojciec zmęczonym ruchem oparł siekiere, obtarł suche czoło, popatrzył ze współczuciem albo politowaniem, nie mogłem dokładnie określić.

— Przejmiesz, synku, ode mnie pałeczke.

Byłem zaskoczony. Nowe wyrazy zdezorientowały mnie i zawstydziły. Co robić? Gdzie skoczyć? Co przynieść? Pytania cisnęły się do głowy, a na żadne nie mogłem odpowiedzieć. Spojrzałem na ojca. Stał pośrodku podwórka otoczony stertą narąbanego drzewa, stał ze spuszczonej głową, jak duży chłopiec przyznający się do winy.

Zrobiło mi się mdło, tyz cisnęły się do oczu, z płaczem osunąłem się na kolana.

— Tato, nie... ja nie... tatusiu...

W tuch ginęły jego słowa.

— Widzisz, synku, ja już... ktoś musi... trochę ci jeszcze będę pomagał. Kupię mniejszą siekiere, teraz ty musisz stać w tym miejscu...

Spojrzałem na ojca, odchodził na bok, omijając kawalki drzewa.

Stoję pośrodku podwórka otoczony stertą narąbanego drzewa. Stoję pośrodku podwórka, zmęczoną ręką obcieraam spoczone czoło i niezmordowanie rąbię. Z boku siedzi ojciec, zbiera butelki, by zabrać je do sklepu i przepaść na pół dnia. Przy ojcu siedzi mój syn, potrzebny tylko do dwu czynności, może też rozwiązuje te same zagadki. Nieraz spoglądam na niego i wyobrażam sobie chwilę, w której powiem:

— Przejmiesz, synku, ode mnie pałeczke.

Aleksander Rozenfeld

Lęk mój powszedni

Zost

a boję się o ciebie
jak o jeszcze jeden dzień który minął
a myślę o tobie tak
to dobrze dziewczyno która jesteś dla mnie
i rankiem i południem dobrze że jesteś
widzieć nikogo nie muszę
ni wrogów ni przyjaciół
świat mi się zamknął w muszli naszego domu
i jeśli któryś mi trzeba to tylko po gazetę
zobaczyć czy to wciąż niedziela
i na ile jeszcze tego święta
czy starczy nam siebie — czy nam czego nie
zabraknie
w nas

Edmund Pietryk

Diabeł może istnieć tylko w wierszu

który najdalszy sztuce portretu

w wierszu który przeczuwa

ma swój kostium jak

kwiaty — osty na kołcach ustrajone mięsem

jak wiersz — diabeł skazany na krótki oddech

nieznany dniom powszednim przez które

się umiera — jak świat bez czasu

który niczego nie wymaga

Diabeł może istnieć już tylko w wierszu

niewidomy jak dzień z uciętą głową

Zdzisław Toczyński

reportaż o postawach

babka niewiasta oświecona

— Żywoty Świętych i Kalendarz Rolniczy

znola moce diabelskie

i nazwiska powiatowych czarownic

od trzech pokoleń

kompromis nie był wyborem

koniecznością trwania

ja cynam Pieśń nad Pieśniami

Platonowa, Apokalipse

kolejność nie ma znaczenia

czytam prozę

dziadek też czyta

— wiesz — mówi — siedząc przed telewizorem

wydawało mi się, że mnie zmora dusi

— dziadku, dziadku — tłumaczę

to nie zmora

tylko babka poleciała na sabat

— muszę dać na misę — martwi się dziadek

Bez samorządu trudno

Dokończenie ze str. 1

wie pozwoli, wróci do swego domu. Znalazł się bowiem dla niej pokój z kuchnią. I to nie w jakimś szarym przez grzyb baraku, lecz w „w bloku”. Dyrektor jest czuły na „ludzkie sprawy”. Dyrektor wielkiego zakładu wiele może.

Ktoś powie, że dobre serce dyrektora zbyt późno zabiło. Ale nie będzie miał racji. Zwalajac winę na dyrektora, postąpilibyśmy jak ów przysłowiowy kelner, który permanentnie wskazuje kolegi.

Dyrektor zawiął swoim dobrym sercem. Spieszac się spóźniona, pomocą „przymal się” do „winy”. Logiczne. Po Zornie. Równie „logicznie” byłby wniosek, że dyrektor powinien pomagać wszystkim Wandom i jej męskim odpowiednikom, wszystkim robotnikom życiowym, wszystkim nieudacznikom spośród swojej zabogi, która liczy wiele tysięcy ludzi. Zadanie przestające możliwości najczulszego serca najbardziej wpływowego dyrektora.

Nie ma jednak skutku bez przyczyny. Tak się składa, że znam zakład dobrze, i to od lat. Znam wiele innych dużych fabryk w kraju, o wielu miałem możność pisać. Zakład Wandy P. jest typowy — realizuje plany, rozwija się, daje niezłe zarobki tysiącom ludzi, aktywizuje miasto, wpływa na industrializację i przeobrażenie tradycyjnie niedoinwestowanego regionu. I cierpi na te same schorzenia, które odczuwa nasz przemysł, a w każdym razie większość przedsiębiorstw.

W pierwszych tygodniach 1969 r. w fabryce Wandy P. przeprowadzono anonimową ankietę, rozpisana z inicjatywy wojewódzkiej instancji partyjnej, opracowana przez wyższą uczelnia techniczną. Celem ankiety było wysondowanie opinii załogi na temat roli samorządu robotniczego, zakładowych organizacji społeczno-politycznych, dykcji oraz wzajemnych relacji pomiędzy nimi. Wyniki ankiety nikogo nie zaskoczyły. Nikogo, kto znał stosunki w przemyśle. Na pytanie, do kogo i dla

czego do niego właśnie respondent zwróciłby się w ważnej sprawie życiowej: urzędujących bądź społecznych przedstawicieli samorządu robotniczego, rady zakładowej, POP czy dyrektora — miąższą większość wskazała dyrektora, wyrażając jednocześnie totalną niewiarę w możliwości pozostałych partnerów. Ankieta, niczym wierne zwierciadło, ukazała tylko raz jeszcze rzeczywisty obraz — rolę, wpływ, możliwości. „Rada nic nie może”. „Oni pilnują tylko swoich stołków i swoich interesów”. „Na fabryce liczy się tylko dyrektor”. „Dyrektor, jak chce, wszystko może zalać”. „Dyrektor naczelny to swój chłop”. Te i podobne motywacje powtarzały się z żelazną konsekwencją.

Tak było w roku 1969 i w latach poprzednich. Przypadek Wandy P. zdaje się wskazywać, że analogicznie jest w roku 1971. Nie tylko przypadek Wandy P. i nie tylko w jej zakładzie. W reporterskim rajdzie przeprowadziłem sporo rozmów z robotnikami i pracownikami umysłowymi kilku innych przedsiębiorstw Lublina.

Robotnica z dużej fabryki lubelskiej:
— Pisze się w prasie, że teraz załogi same podejmują zobowiązania i czyny. Może gdzieś i tak jest, ale nie u nas. U nas kierownik przyszedł, powiedział krótko, co i jak. Koniec. I niby to my podjęliśmy zobowiązanie. Ale jakie zobowiązanie? No, koniec kwartału, trzeba podgonić produkcję. Na to pójdą niedziele. To ja się pytam, gdzie oni byli, żeby nam tak zorganizować i ustawić robotę, żeby bez przeszkód, żebyśmy zdążyli z planem na czas? Nie mówię, że my nie chcieliśmy zobowiązania, że my przeciwni. Chcemy, ale nie takiego, żeby było lipa, tylko, żeby było nasze, prawdziwe, i żeby coś dało.

Robotnik z tej samej fabryki:
— Premie eksportowe ważne: stale te same nazwiska na liście. Na okrasę dadzą parę nowych, a poza tym — sami swol.

Inna robotnica z zakładu metalowego:
— Czego Anna K. zarabiała od nas po 600-800 złotych więcej, chociaż robi dużo mniej, albo i nic nie robi? Donosi, dobrze żyje z szefami. I waży swoje detale po dwa, trzy razy. Mamy pracę w akordzie. Ale dla niej każdy oko przyżył!

Kierowca PKS:
— Kierownik u nas robi co chce. Bez dania racji każe nam pisać podania o zwolnienie. Zonę po operacji chciałem zabrać ze szpitala, poprosiłem o 2 godziny wolnego. To zdjął mnie z wozu i też każe już zwalniać. A ja w pekaście pracuję już dziesiąty rok, cały czas na długich trasach, na „Zubrachi” i „Mazach”. Bez żadnej nawalanki. To jak, zależy im na ludziach, czy nie? Chyba nie, bo niedługo weźmie na honor i odchodzi. Kierowca dziś wszędzie robotę dostanie... Co na to rada? Nic. U nas jest rada, no bo musi być.

Urządnik w dużym przedsiębiorstwie usługowym:
— Techniczny zwolnął naradę pracowników swego pionu. Naubliżał pracowników, bo niby za mało inwencji wykazują. Koleżanka spytała technicznego na tym spędzie, kto nam ma w działach organizować robotę? No bo kierownik chałturzy, projektuje, ekspertyzy; techniczny bezsia i pohukuje; ludzie zdezerorientowani, przestraszeni. A dyrektor na to, że kierownik i dyrektor nie omnibusy, że

* Z przyczyn oczywistych imiona i inicjały nazwisk zostały zmienione.

to właśnie naszym zadaniem jest usprawnić pracę działów i pionu. To w takim razie za co kierownik bierze te pięć tysięcy? Za to, że może sobie na służbowym biurku śpiąc nad zarobkową dokumentacją?

Robotnik z budowy:
— Złapał jednego z biura, co sobie dom buduje, jak wywoził materiał z budowy. Prasa nawet pisała, „Kurier”. I co? Ano, siedzi sobie w biurze i spokojnie papierki przewraca. Swoją swego kryje, no nie?

Wanda P., kierowca, robotnica, urzędnicy, ludzie z przedsiębiorstw dużego miasta wojewódzkiego we wrześniu 1971 dowodzą, że grudzień 1970 jakoś ominął ich zakłady.

— Chciał pan od razu jakichś daleko idących zmian? — dziwi się młody inżynier z dużej fabryki — Nic się samo nie dzieje. Zmiany nastąpiły w górze i tam jest inny klimat. A co się zmieniło u nas, w zakładach? Nic. W zasadzie nie. Administracja ta sama, ci sami ludzie w radzie zakładowej, robotniczej... Chwileczkę, ma pan rację, ludzie, choć ci sami, mogą się zmienić, zrewidować poglądy. Mogą, ale nie muszą. Częściej zresztą nie mogą. Zaraz udowodnię, dlaczego. Kto nam wybrał władze samorządowe? Dane nam były z góry, przeważnie byli to ludzie dyrektora, zresztą wmanewrowani w tryby samorządowej maszyny. Jaki zatem wpływ na ich bycie albo nie być może mieć tak zwany wyborca? Żadnego, ale to kompletnie żądne. Taki członek samorządu, w ogóle tak zwany działacz, dobrze przecież wie, co komu zawdzięcza i od kogo zależy. Nie ma co w tej sytuacji czekać na cud. Dopóki ludzi będzie przynosić się w teckach, będzie jak jest.

Jeszcze jedna wypowiedź tego samego inżyniera:

— Co tydzień nasz dział kadry zwalnia dyscyplinarnie kilkanaście, czasem kilkadziesiąt osób. Powody bywają rozmaite: pijaństwo w czasie pracy, nieusprawiedliwiona absencja, łamanie dyscypliny, kradzieże fabrycznego mienia itp. Wszystkie dyscyplinarki, oczywiście, analizuje rada zakładowa. Takie są przepisy. Rada zakładowa z reguły akceptuje te zwolnienia. Czyni tak w dobre pojętym interesie społecznym. A co robisz ci wyrzuceni za bramę? Czekają poniedziałku, kiedy to „stary” przyjmuje w ramach skarg i wniosków. Prawie wszyscy idą „na dywanik”, czyli do sali reprezentacyjnej obok gabinetu dyrektora, gdzie każdy ma jeszcze szansę prosić naczelnego o darowanie kary. Ponieważ „stary” dba o swoją reputację faceta wrażliwego na ludzkie niedole, spora część żerzących wałków wychodzi z rozgrzeszeniem. Rada i to akceptuje, bo rada jest od akceptowania.

W końcu zdanie inżyniera wyraża opinię jednostkową, mocno subiektywną, być może skazaną osobistymi pretensjami. Sięgajmy więc po oceny pełniejsze, bardziej obiektywne.

Swego czasu „Życie Gospodarcze” w cyklu kilkudziesięciu publikacji „Bez samorządu trudno” przeanalizowało reportersko i publicystycznie kwestię funkcjonowania związków zawodowych i organów samorządowych w przedsiębiorstwach różnych branż i regionów. Wnioski z odświeżonych lektur smutne: rady związkowe ograniczały swe funkcje do sterowania mocno sformalizowanym współzawodnictwem i rozdziałem wczasów, tudzież im podobnych świadczeń socjalnych; rady robotnicze zadawały się akceptowaniem formulowanych przez dyrekcję planów; POP... o POP pisało się wówczas niewiele. Z materiałów, które próbowały zahaczać o sprawy zakładowych organizacji politycznych wynika, że ograniczały one swą rolę do tradycyjnego szkolenia ideologicznego.

Dzia już truzimem jest trywialność przypuszczenia, iż przyczyny mogły leżeć w ludziach, ich indolencji, wstątkowym konformizmie. Osobiście znam kilku szaczerze przebiegłych swymi obowiązkami działaczy samorządowych. Powalnie traktowali swoje funkcje i przeżywali głębokie konflikty wewnętrzne, bardzo cierpieli na niemożność. W FSC jeden z nich odmówił dalszego podpisywania list premiowych po pierwszym gorzkim doświadczeniu; podano mu gotowy wykaz, nie zaproszono do jego ustalania. Listy podpisuje więc jego związkowy kolega. W innym zakładzie przewodniczący rady na każdej dyspozycji z uporem maniaka zgłasza ciagle te same (czasem z dodatkami nowych) wnioski i postulaty. Protokolał nawet nie notuje wypowiedzi przewodniczącego, który stracił autorytet, który w imię wierności dla przynocy i ludzi przezeń reprezentowanych — dobrowolnie niejako naraża na szwank swą ludzką godność. W FSC jeden z przewodniczących oddziałowej rady robotniczej, przedkładany przez kierownika, zmuszony wreszcie — jako wysokiej klasy fachowiec, traser w IX, najwyższej grupie szaszerzowania — do uwłaczającej funkcji roznościela i sprzedawcy kanapek podczas przerwy śniadaniowych, szuka pomocy w prasie. Redaktor „Polityki” odstania splecione korzenie konfliktu, wykazuje kompletne lekceważenie samorządu, bierze w obronę uczelzonego człowieka. Po paru miesiącach, gdy sprawa nieco przycichła, zmusza się przewodniczącego do napisania rezjgnacji „ze względu na zły stan zdrowia”. Kadry znalazły wreszcie gorączkowo poszukiwany pretekst: ekspreszowniczą chorobą był kiedyś na grudzień...

Powtórzmy więc truzim: nie w ludziach, w każdym razie nie w nich przede wszystkim, należy szukać przyczyn. Publicyści, specjalizujący się w problematyce samorządowej, są zdania, że większość działaczy to „ludzie oddani i głęboko zaangażowani”. Osobiście mam nieco wątpliwości. Nie mniej sądzę, że większość spośród nich zasługuje na miano zdolnych, obdarzonych inwencją, społecznikowskimi predykcjami. Wszyscy wszakże jednak spętani są niemożnością. Jak twierdzą, wystarczy stworzyć im odpowiednie warunki, a będą działaczami z prawdziwego zdarzenia.

Działacz samorządowy — zwierza się jeden z nich, młody, trzydziestoparoletni przewodniczący rady zakładowej — oczywiście, działacz, a nie karierowicz, musi mieć zagwarantowane minimum warun-

ków niezbędnych do tego, żeby mógł wypracować autentyczną, bezpośrednią więź ze swoją załogą. Jest klimat sprzyjający, ale potrzebne są sprzyjające decyzje.

W Wytycznych na VI Zjazd PZPR czytamy: Samorząd robotniczy staje się szczególnie ważnym czynnikiem umacniania roli klasy robotniczej w systemie kierowania gospodarką narodową, w tożsawianiu rezerwy, w szybszym i skuteczniejszym wyznaczeniu inicjatywy społecznych. I dalej: Potrzeba wprowadzenia nowoczesnej organizacji i rachunku ekonomicznego na każdym odcinku pracy otwiera przed samorządem robotniczym szersze pole działania, wymaga także, aby ogniwem samorządu robotniczego wykonywały kontrolę zarówno operatywnej działalności przedsiębiorstw, jak i za miereń na dalszą metę.

Założenia słuszne, lecz w aktualnej sytuacji chyba nieosiągalne w powszechnej skali. Nieosiągalne, jak sądzę, skutkiem obowiązującej jeszcze „ordynacji” wyborczej do ogniw przedstawicielskich. Moim zdaniem, samorząd może stać się partnerem administracji, awansować z pozycji kompiuska do roli współgospodarza tylko wówczas, jeśli znajdzie autentyczne oparcie w masie rzeczywistych wyborców. Tylko wówczas mandatariusz będzie uważnie wsłuchany w głosy z dołu, jeśli przestanie zależeć wyłącznie od góry, jeśli jakość pracy i sama funkcja, która go obdarzono (i obarczono), zależeć będzie od wyborczego gremium i osobistych predyspozycji kandydata.

Nie są to rewelacje wymyślone przez mnie. W gorących dniach pogrudniowych powtarzano zbliżone sądy przy rozmaitych okazjach i z różnych miejsc — od trybun najwyższych poczynając, na tzw. oddolnych głosach kończąc. Warto jednak rozważyć istotne dla milionów pracujących kwestie raz jeszcze, warto tym bardziej, że — jak wskazują chociażby zamieszczone w teście reportaży migawki — problem bynajmniej nie przestał istnieć wraz z jego nazwaniem.

Zagadnienie właściwego funkcjonowania samorządu w przemyśle i całej gospodarce wymaga nie tylko rozważań, wymaga przede wszystkim, choć w drugiej kolejności — konkretnych i możliwie szybkich decyzji organizacyjnych, które zagwarantują stworzenie zdrowych podstaw strukturalnych dla autentycznej działalności i owocnej pracy tysięcy samorządowych mandatariuszy, działalności i pracy wykonywanej już rzeczywistie w imieniu i zgodnie z interesem milionów wyborców, a więc zgodnie z najżywością interesem społecznym.

Stanisław Harasimiuk

Komu trzęsą się portki?

Dokończenie ze str. 7

see debatuje się, czy dotychczasowa koncepcja miasta-plamy, rozlewającej się równomiernie we wszystkich kierunkach, powinna być utrzymana, czy też zastąpić ją miastem-osiornicą, rozwijającą się w kilku wybranych kierunkach; a może przyjąć kierunek rozwoju linearnego, to znaczy wzdluz jednej linii, takiego miasta-węza, jako że dziś odległości wzdluz jednej linii nie stanowią takiego problemu, jak skrzyżowania i węzły komunikacyjne? Koncepcja linearna pozwala też na skoncentrowanie frontu robót budowlanych, co przy przemysłowych metodach budownictwa przynosi szybsze efekty produkcyjne i obniża koszty. My w Lublinie budujemy i na LSM i na Kalinowszczyźnie i w paru innych miejscach, przenosimy bazę budowlaną z jednej dzielnicy do drugiej, a dwa razy przeprowadzić się to tyle, co raz spalić. Czyż nie jest to temat konieczny do dyskusji?

Dyskusja jednak, jeśli ma przynieść jakikolwiek zysk, musi być szczerą. Dyskutować muszą mówić to, co myślą, a nie to, co ich zdaniem spodoba się. O szczerść, niestety, u nas ciągle trudno.

Przeglądam prasę, właśnie są sprawozdania z jubileuszu Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku. Jubileusz tym miłszy, iż zakład otrzymał niedawno I nagrodę w ogólnopolskim konkursie „Dobrej roboty”. Wymienienie sukcesów, komplementy za śmigłowiec. I ani słowa o tym, że produkowane w WSK motocykle są konstrukcyjnie o wiele lat przestarzałe.

Być może, też świadczy o dobrej robocie producenta, są mocne, solidne, klient może być z nich zadowolony, zwłaszcza klient w krajach, w których drogi są kiepskie i brak dostatecznej ilości stacji obsługi. Lecz motocykle te są, jak na swoją klasę, wyraźnie za ciężkie. To znaczy producent, czyli państwo, czyli my wszyscy, dokładamy do każdego pojazdu ład tam kilogramów drogiej stali (na którą w całym świecie jest nieustannie zapotrzebowanie) z importowanego surowca. Nie ma żadnego wyją-

nienia, dlaczego w motocyklach produkcji NRD, CSRS czy węgierskiej każdy koń mechaniczny jest dużo cięższy. Właściwie jest chyba tylko jedno wytłumaczenie: fabryka przerobiła większą ilość materiałów, a zatem lepiej wykonała plan.

Przypomina się rysunek z radzieckiego pisma satyrycznego „Krokodyl”: Jeden gigantyczny rozmiarów gwóźdź, którym fabryka gwóźdź wykonała z nawiazką roczny przerób materiałów WSK od lat ma mi nas nowościami w rodzaju większej ilości chromowanych części, czy zwiększeniem pojemności skokowej silnika ze 125 na 175 ccm, a tymczasem świat idzie w innym kierunku. W rozwiniętych gospodarkach krajach motocykl przestał być pojazdem dalekiego zasięgu. Wyparł go samochód. Renesans motocykla wywozi się z małych jednośladów o pojemności do 50 ccm, lekkich, tanich, zużywających mało paliwa, zabierających 2 dorosłe osoby. Pojazdy takie kupują nawet posiadacze samochodów: na dojazd do pracy zatoczonymi ulicami, na podmiejską wycieczkę; kupuje je też masowo młodzież.

Jak więc powinny wyglądać w okresie przedzjazdową publikacje na temat WSK? Osobno — pochwały jubileuszowe, a w innej rubryce, nie korespondującej z tamą, jakby chodziło o inny zakład, pytania o sens obecnego kierunku produkcji motocykli. A w jeszcze innej wyrazi uznania dla inżynierów z WSK, którzy opracowali model niedrogi, efektywnego samochodu dla inwalidów (dzięki niskiej cenie budzącego także zainteresowanie i nieinwalidów) i dociekanie, kto nie dopuścił do dalszych badań i staran o produkcję: dyrekcja, Zjednoczenie czy Ministerstwo? I dlaczego?

Przeglądam prasę. Wiadomości o jakichś wydarzeniach w rejonie kanału Wieprz — Krzna. Kto tam go zwiędził. Informacja, kto go witał, kto przemawiał. O kanale dotychczas czytaliśmy raczej pochlebnie. Ale ludzie mówią o innej. Ze nie spełnił swych zadań. Ze kosztował dużo, a korzyści przynosi niewielkie. W niektórych miejscach zamiast korzyści — straty. Wyszuszył tak pewne tereny, że w czasie tegorocznej kanikuły paliły się tygodniami torfowiska i nie udało ugasić tam, gdzie dotychczas zawsze było wilgotno. Ze tu i ówdzie zniszczono rzadką roślinność, znajdującą się pod ochroną. Ze zafascynowani propagandową stroną kanału (120 km długości, najdłuższy w Polsce, choć w rzeczywistości kanalik, a nie kanał), nie przejmowali się efektami. A te nie są imponujące. Włożone w kanał pieniądze nie procentują, gdyż inwestycji nie potraktowano kompleksowo. Więc jak to jest z tym kanałem? Potrzebny był, czy nie? Zrobiono go właściwie, czy niezupełnie? Czy trzeba coś jeszcze zrobić, albo naprawić? Może są to wszystko wredne plotki. Skoro jednak ludzie plotkują, władza nie może udawać, że nie słyszy.

Ludzie w ogóle lubią wiedzieć jak najwięcej. Kto awansował, bo zdolny, kto odstąpił, bo nie nadawał się, kto poszedł z roli do przemyślni i dlatego, a kto z przemyślni do kultury i dlatego? Nie jest to ciekawość czcna, lecz gospodarska troska. Polak anno 1971 czuje się pełnowładnym gospodarzem swego kraju, jeden w pełni świadomie, inny może tylko podświadomie. W każdym razie chciałby wiedzieć, co się dzieje i w kraju i w świecie, chciałby mieć przekonanie, że akceptuje to, lub jeśli nie, w miarę swych sił lansować zdanie inne. U nas zaś nie tylko ważne decyzje, lecz nawet tak zdawałoby się drobne sprawy, jak

nominae i odwoływanie kierowników w radach narodowych i dyrektorów przedsiębiorstw, odbywają się często bez paru słów informacji. Idziemy do dyrektora X, a okazuje się, że za jego biurkiem siedzi już Y. Jak to, nie jest pan zainteresowany?

A ja chcę być nie orientowany, lecz poinformowany. I byłbym rad, gdyby jeszcze ta informacja była skomentowana. Nie przez plotkę kawiarnianą, a przez władzę. Chcę wiedzieć wszystko, co wie ta władza, czym kieruje się w swych poczynaniach — wyjąwszy oczywiście tajemnice państwowe, wojskowe i gospodarcze. Współczesny Polak nie widzi, poza wyżej przytoczonymi sprawami, tematów tabu, o których nie mógłby wiedzieć, lub o których nie mógłby się wypowiedzieć.

Niechęć do publicznego roztrząsania spraw trudnych nie jest u nas niczym niezwykłym. Miał Grudzień i inne ważne miesiące, a poglądy, że o pewnych sprawach i ludziach można pisać wszystko, o innych tylko w wąskim zakresie, utrzymuje się. I nie jest to rezultat działania jednej osoby lub grupy osób, lecz obyczajowości politycznej (nie mylił z atmosferą polityczną), utrzymującej się w województwie niezmiennie od lat, lub z małymi zmianami. Jest to, być może, wynik zaścianowości Lubelszczyzny, którą przestano nazywać Polską B, ale która nie przestała być regionem gospodarczo zacofanym. Bo choć bardzo rozwinięła się, to ile poszły naprzód inne województwa, choćby krakowskie i rzeszowskie, nie mówiąc już o katowickim, poznańskim lub gdańskim! Po prostu przyjęło się, że pewnych tematów nie należy poruszać na głos, choć po cichu walcowane są szeroko.

Nabiera w Polsce impetu dyskusja przedzjazdowa. Jakkie blada — piszę te słowa 4 października — jest ona na Lubelszczyźnie! Podejrzewam, iż część osób tylko dlatego wypowiedziała się, lub inspirowała innych do wypowiedzi, że nieprzyłączenie się do dyskusji mogłoby im być poczytane za ignorancję polityczną. Trzeba odfajkować tę dyskusję! Trzeba odębnić ją na specjalnym zebraniu, czy też w specjalnej rubryce, albo specjalnym numerze gazetki ściennej.

Polska znalazła się w przełomowym momencie swej historii. Polacy muszą odpowiedzieć sobie na szereg podstawowych pytań i muszą podjąć szereg zasadniczych decyzji, od których zależeć będzie przez wiele lat los kraju i obywateli.

Nie jest łatwo na własną odpowiedzialność zajmować pozycję, zwłaszcza ludziom, którzy dotychczas zawsze szli pewnie przez życie, bo mieli ściśle zalecenia „góry”. Trzymali się ich, zyskiwali uznanie, mogli spokojnie obrastać w sadło. A teraz góra zwróciła się o zalecenia do dołów. I wielu ludzi, nie przyzwyczajonych do samodzielnego myślenia, poczuło się robotnikami na wzburzonym morzu. Strach im, że zostaną wyparci z kapitańskich stołków przez tych, którzy wiedzą, jak w czasie burz nie tylko własną ratować skórę, lecz statek z kompletem pasażerów i ładunku doprowadzać do kolejnych portów.

Powiał wiatr historii i — jak pisze poeta — ludziom rosła skrzydła, a portki się trzęsą piętakom.

Romuald Wiśniewski

